# Myśl Polska

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU
POLISH THOUGHT—MONTHLY REVIEW

Nr 109-110 (Rok VII, Nr 4-5) Kwiecień—Maj, 1947 Cena (Price) 2/6

# DOBRO EUROPY

WIELKI brytyjski dziennik polityczny *Manchester Guardian*, donosząc o stanowczym oporze narodu polskiego przeciw próbom zmiany granicy zachodniej Polski, robi uwagę, że "najwidoczniej u Polaków nienawiść do Niemiec jest ciągle jeszcze dużo silniejsza od wszelkich argumentów, przemawiających za uzdrowieniem gospodarczym Niemiec dla dobra całej Europy".

Nie pierwszy to już słyszymy taki argument, gdy chodzi o skrzywdzenie Polski w interesie tych czy innych dyplomatycznych przetargów, tej czy innej bieżącej taktyki politycznej. Odpowiedź, podyktowana nie tylko poczuciem słuszności, ale także głębszym przemyśleniem dobra Europy jako całości, może być tylko jedna: Polska w ciągu siedmiu lat ostatnich poniosła ze wszystkich narodów sprzymierzonych największe stosunkowo wysiłki i ofiary dla wspólnego dobra,— natomiast kierownicze mocarstwa Zachodu nie uczyniły w końcowym, decydującym okresie żadnych bardziej stanowczych kroków, by przywrócić jej wolność i dać jej możność odegrania roli, jakiej w sposób nieodzowny wymaga dobrze zrozumiany interes Europy i świata.

Choć wkład Polski w Drugą Wojnę Światową jest od dłuższego już czasu przemilczany lub pomniejszany przez dużą część polityków, prasy i rozgłośni radiowych mocarstw anglosaskich, a pod ich wpływem także innych krajów Zachodu, nie mamy tu zamiaru robić szczegółowego katalogu naszych zasług i ofiar. Wystarczy podkreślić, że gdyby nie desperacki, "samobójczy" niemal (jak się wyraził jeden z uczciwych publicystów amerykańskich) opór, jaki Polska stawiła dalszej ekspansji odrodzonego imperializmu teutońskiego, Hitler prawdopodobnie w ciągu krótkiego czasu rozgromiłby oba zachodnie mocarstwa Europy, beznadziejnie wtedy ustępujące mu pod względem uzbrojenia i pogotowia wojennego, — poczem bez większego wysiłku uporałby się z Rosją. W razie, gdyby w ogóle nie doszło do wojny polsko-niemieckiej, kolejność natarć Hitlera byłaby prawdopodobnie odwrotna, ale wynik pozostałby ten sam. W obu wypadkach, jako jedyny jego poważny przeciwnik, pozostałyby na placu Stany Zjednoczone, których położenie z pewnością nie byłoby godne pozazdroszczenia. Bez uciekania się do metafor typu mesjanicznego stwierdzić można, że Polska odegrała rolę Winkelryda narodów, który skupił na sobie wszystkie ciosy, nie otrzymując dosłownie żadnej pomocy od swych sojuszników zachodnich, doczekując się natomiast zdradzieckiego pchnięcia nożem w plecy od wschodu. I w ten właśnie sposób użyczyła ona mocarstwom Zachodu oraz Rosji Sowieckiej co najmniej ośmiu bezcennych miesięcy na przygotowanie się do oczekującej je rozprawy.

A i później tak się złożyło, że Polacy byli wszędzie, gdzie się rozstrzygały najważniejsze momenty wojny. Stwierdzamy to bez żadnej megalomanii; zwycięstwo nie byłoby możliwe bez wspaniałego oporu Wielkiej Brytanii w lecie i na jesieni 1940 r., bez Stalingradu, bez ogromnej pomocy materialnej i technicznej Stanów Zjednoczonych—niemniej nie zabrakło nas nigdzie tam, gdzie chodziło o przeważenie szali czy dokonanie zadań szczególnie trudnych i niebezpiecznych. *Battle of Britain*, Tobruk, Monte Cassino i Falaise pozostaną świadectwami, których na dłuższą metę nie będzie mogła wkopać w ziemię żadna *conspiration de silence*, ani żadne wykrzywianie rzeczywistości. Podobnie nie będzie można zagłuszyć nadludzkich niemal wysiłków i poświęceń polskiego ruchu podziemnego w Kraju.

Za to wszystko Polska, która oddała sprawie sprzymierzonych tak wielostronne, decydujące usługi, nagrodzona została nowym rozbiorem, — rozbiorem, który tym się różni od zaborów z końca XVIII w., że dokonany został przez własnych sojuszników. Oderwano od niej całą wschodnią połowę kraju, — oderwano te obszary wbrew elementarnym zasadom sprawiedliwości, bez zapytania o wolę ich mieszkańców, bez zgody prawdziwego i prawomocnego przedstawicielstwa narodu polskiego. Obiecano nam natomiast zachowanie pełnej niepodległości i nabytki na Zachodzie. Znaleźli się — nieliczni zresztą — politycy polscy, którzy wyrazili zgodę na prowadzenie polityki, idącej po tej linii. Wyniki są wiadome: kraj nasz wolności nie odzyskał, a zagłada jego podstawowych praw narodowych przypieczętowana została przez całkowite złamanie lub porzucenie zobowiązań, zaciągniętych przez wielkie mocarstwa w Jałcie, w lutym 1945 r.

Mimo to wszystko naród polski, niszczony i torturowany w bezprzykładny sposób przez sześć lat wojny, a bezpośrednio potem poddany tyrańskiej dyktaturze komunistycznej, zdobył się na ogromny wysiłek w kierunku odbudowy swego życia gospodarczego i kulturalnego. Jednym z najbardziej zdumiewających przejawów tego wysiłku jest skolonizowanie i zagospodarowanie ziem odzyskanych na Zachodzie, na których w ciągu półtora roku osiedlone zostały prawie cztery miliony Polaków, a przeszło milion miejscowych mieszkańców przywrócono polskości.

Zdawać by się powinno, że w Moskwie podniesione będzie mocno i stanowczo żądanie przywrócenia Polsce pełnej wolności i praw, których ją pozbawiono. Niestety nie padły żadne słowa na ten temat, — nie usłyszeliśmy żadnej nawet aluzji na temat oddania Polsce Lwowa i Wilna. Zamiast tego pojawił się postulat oderwania od Polski dużej części jej dzisiejszych województw zachodnich, postulat, który w praktyce oznaczałby dalsze skurczenie i tak już zmniejszonego obszaru państwowego, nową okrutną tułaczkę wymęczonych do ostateczności setek tysięcy rodzin polskich, dalsze obniżenie stopy życiowej całego społeczeństwa i dezorganizację odbudowującego się dopiero z trudem życia gospodarczego.

Nie sądzimy, by tą drogą służyć było można interesom Europy. Dobro naszego kontynentu, a zarazem dobro całego świata, wymaga przede wszystkim odbudowy całkowitej wolności Polski wraz z krajami sąsiednimi i zapewnienia im należytych warunków rozwoju. Bez tego niemożliwe jest stworzenie na kontynencie niezbędnego ładu i równowagi nie tylko w dziedzinie politycznej ale i cywilizacyjnej, — i bez tego wszelkie posunięcia w kierunku "uzdrawiania gospodarki Niemiec" kosztem ich niedawnych ofiar będą zawsze robiły wrażenie szczególnie nieprzekonywające. Nie osiągnie się pożądanych wyników, jeżli zaczynać się będzie od złego końca.

# O DONIOSŁOŚCI NAUK HISTORYCZNYCH DLA NARODU

## Przemówienie wygłoszone przez ministra prof. Władysława Folkierskiego na zebraniu inauguracyjnym Polskiego Towarzystwa Historycznego w Londynie, dnia 11 marca 1947 r.

ZEBRANIE inauguracyjne Towarzystwa Historycznego uważam za wydarzenie na tym gruncie londyńskim znaczne i bardzo szczęśliwe.

Czemu?

Jest tego powodów szereg. Chciałbym je tu po krótce zanalizować, bo odpowiadają one pewnym potrzebom powszechnym, choć nie zawsze uświadomionym. Właśnie nam tu dziś wypadnie potrzeby te sformułować i określić.

Nie idzie mi tu na pewno o t.zw. ucieczkę w przeszłość od tragedii dnia dzisiejszego. Taka postać "ucieczki w nieznane, dalekie i minione" istnieje zapewne. Może być ona płodna dla pewnych stanów lirycznych i poetyckich. Dla historycznego myślenia jest ona jedynie epifenomenem, sprężyną pośrednią i poślednią. Nie tę przyczynę zaliczylibyśmy do najważniejszych.

×

Pierwszą z ważnych przyczyn jest raczej to, że ogłuszeni ciosem, jaki nas spotkał, tragedią jaka nas otacza, pragniemy wydobyć się z zalewających nas i dławiących odmętów dnia codziennego, aby przecież tchu złapać głębszego, coś zrozumieć, na jakiejś dłuższej usiąść fali, jakiś przecież rytm uchwycić, który by nas mocno związał z przeszłym wiekowym narodowym nurtem, a też i pomost ku przyszłości rzucił.

Powtarza się w ten sposób rzecz sprzed lat stu. Do nas należy, by nie powtórzyć tych samych błędów. Myślę o tym, co się wtedy nazywało pięknym mianem historiozofii. Jak każda filozofia była ona mądrzejsza od rzeczywistości t.zn. od historii, i dlatego historyczną dyscypliną nie była. Z jej rozbicia pod ciosami metody historycznej nie wynika ani trochę, byśmy się nie starali pewnych wniosków wyciągać z odległych od siebie w czasie przesłanek. Tą drogą można wiązać ze sobą duże szmaty doświadczenia historycznego, duże więc szmaty czasu, i w ten sposób starać się w sieć historycznego zrozumienia chwycić i to, co nas spotkało. Taką potrzebę odczuwać — znaczy rozumieć, że się nie da losów narodu rozumowo zmieścić w jednym pokoleniu.

W tym domaganiu się dłuższej, dalszej fali myślenia mieści się i postulat inny.

×

Dotyczy on samego funkcjonowania naszego aparatu myślowego. Wojna zaciążyła na nim tak silnie, że wciąż jeszcze nie zdołaliśmy jego normalnej pracy przywrócić. Trudność polega na tym, że dzięki naciskowi chwili i potrzeby myślenie nasze zsunęło się niepostrzeżenie z właściwych sobie poziomów i płaszczyzn ku myśleniu tendencyjnemu i propagandowemu, ku łatwym uogólnieniom, ku aktualnościom i doraźnościom. Trzeba nam nawrotu do czegoś, co bym nazwał *bezinteresownością myślenia* w znaczeniu nieoglądania się za doraźnym, natychmiastowym rezultatem naszych poczynań a zostawiania sobie pewnego odstępu czasu dla organicznego dojrzewania i myśli i jej wyniku. Nic nie ma dla twórczej myśli groźniejszego nad krótki dech i dorywczość: sprowadzają one ją łacno do efemerydy.

Z kolei — i to bardzo ważne — ta pośpieszność myślenia i wysiłku wpływa i na wybór tematyki. Wybiera się oto tematy, gwarantujące szybkość osiągnięć i łatwość zdobycia posłuchu. Unika się w ten sposób tematów trudnych, niezbadanych, a ciągnie ku łatwiznom wiecznie, choćby w nowych słowach, powtarzanych uogólnień.

×

A tymczasem, po tym straszliwym ugorze lat blisko ośmiu, naród oczekuje po swych historykach czegoś wręcz innego: nawiązania na nowo przerwanej twórczej pracy naukowej.

Twórczość historyczna, historyczne opracowania metodyczne i naukowe mają dla narodów wagę ogromną. Im to — i zapewne legendzie — im zwłaszcza przypada w udziale zadanie wiązania pokoleń ze sobą wyłuskiwaniem historycznej prawdy i jej przekazem. Wszak życie narodu ma dwa wymiary, przestrzenny i czasowy. Nigdy świadomość, więc życie narodu, nie może się ograniczyć do jednego bieżącego pokolenia. Nie kto inny, tylko August Comte, wskazał, że właściwie rola zmarłych jest nieporównanie dla społeczeństwa narodowego większa niż rola żywych, — właśnie dlatego, że ich jest długi ciąg pokoleń, a żywych jeno jedno czy parę.

Nasze tysiąclecie historyczne żyje wszakże wciąż. W naszych oczach ożywa Polska Chrobrego i Krzywoustego. Na Wrocławiu i Lignicy, na Szczecinie i Ziemi Lubuskiej okazuje się, jak bardzo historia wieków ośmiu i dziewięciu, historia lat tysiąca, jest organizmem żywym, którego pozornie obumarłe tkanki nagle potrafią ożyć i zmartwychwstać. Więcej nawet niż mowa polska — waży tu tradycja polska i niezatarty przekaz w pamięci Narodu. Ten zaś przekaz w dużej mierze należy do historiozofii i historyków. Oni to są właśnie piastunami tej narodowej tradycji wiekowej.

Ten skarbiec tradycji historycznych jest zaś skarbcem płynnym, nigdy nie zawartym, nigdy niezakończonym. Opiera się to żywe krążenie historycznej energii na hierarchii dóbr. Są tradycje, które nie sięgną poza pamięć jednego pokolenia. Są inne wciąż atakowane i bronione. Są i takie, nieliczne, które są i żywe i nieatakowane. Do historyka należy troska o budowanie narodowej świadomości ciągłym wartościowaniem i przewartościowywaniem narodowych pamiątek. Nigdy prawdziwy tradycjonalizm nie polega na zamkniętym rachunku. Wręcz przeciwnie: rachunek ten jest zawsze otwarty.

Dziś, po przebyciu tej straszliwej wyrwy, jaką stanowi owych lat już blisko osiem tej najokropniejszej z wojen,— na barki nasze spada ciężar ogromny. W kraju panuje milczenie. Jeżeli się pisze, to się nie drukuje. Z wiadomych przyczyn. Na nas tu, na wygnaniu, spada zadanie nawiązania na nowo nici twórczości historycznej, tak właśnie rozumianej.

Do tego dochodzi zadanie najważniejsze, zadanie uchronienia i zabezpieczenia prawdy lat ostatnich, tej prawdy tak powszechnie dziś poniewieranej i dławionej. Jest wszakże widoczny zamiar zniszczenia jej tak dokładnego, by wszelki ślad po niej zaginął. Exemplum: Katyń. Ale dotyczy to innych spraw, jak wkład Polaków do wojny, jak bohaterskie przez nasz naród dotrzymanie umów międzynarodowych i dokonanie do kresu obowiązku, jaki mu przypadł w udziale,— wszystko to na tle powszechnego niedotrzymania umów i zobowiązań zaciągniętych wobec nas. Cała sprawa "natchnienia" narodów, tak sromotnie zaprzepaszczona przez tego samego, co te słowa był wypowiedział. . . .

To wszystko winno być sformułowane tak, by stanowiło nienaruszalny przekaz historycznej Prawdy.

I tu zapewne leży zadanie historyków najważniejsze i najtrudniejsze.

Bo i wracam tu do tego, co się już rzekło na wstępie. Nie wystarczy tu sam zamiar i dobra chęć, nie wystarczą propaganda i publicystyka. Owszem — mogą zaszkodzić. Wkraczamy tu na grunt *metody historycznej.*

Nie tu miejsce na jej charakteryzowanie. Sięga ona od analizy tekstu do analizy faktu, od umiejętności ścisłego wyciśnięcia tekstu, takiego by powiedział wszystko co winien, ale nie więcej, do sztuki formułowania wniosków i budowania struktur historycznych. Do tego, by prawda zatryumfowała — wszystko to musi być nienaganne. I wtedy nie masz fałszu ani obłudy, które by nad Prawdą historyczną zapanować mogły. Ale ponad wszystko trzeba nam zacząć od tego, by przesłanki tej prawdy ocalić i samych faktów nie pozwolić zniekształcać i zniweczyć tak, by je niepamięć w ziemię wbiła i raz na zawsze potratowała.

Dziś, gdy zabrakło nam tu, na obczyźnie, seminariów historycznych dla naszej młodzieży, — oglądamy się na Towarzystwo Historyczne, by tę troskę o metodę podjęło.

×

Na zakończenie jedna uwaga.

Jeżeli, jak sądzę, organizm dziejowy Narodu stanowi istotnie żywą tkankę dwuwymiarową, w czasie i przestrzeni, reakcje muszą być dwustronne. Musimy umieć wczuwać się w przeszłość, wnosząc w nią nasze dalsze, wiekowe doświadczenia. Każde narastające nowe pokolenie bogaci perspektywę patrzenia wstecz. Inaczej mu się układają wartości i ich hierarchia. Inaczej układa mu się cały bilans dziejowy. Oczywiście, historyka czeka tu zadanie niezwykle trudne i precyzyjne: jest on człowiekiem XX wieku, pisząc o wieku XI, ale nie wolno mu ówczesnym Polakom podsuwać swoich dzisiejszych a obcych im pojęć. Swoje XX-wieczne czy dwudziesto-wiekowe doświadczenie wolno mu stosować do *oceny* zagadnienia XI-wiecznego w perspektywie dziejowej, ale nie do psychologii ówczesnego Polaka.

Niemniej pozostaje faktem, że krajobraz historyczny i mapa dziejowa przeszłości zmieniają się z każdym wiekiem. Wszak w rozumieniu dzisiejszym będąc świadkami odżywania naszych zachodnich tkanek, inaczej się w niejednym zapatrujemy na politykę naszego okresu piastowskiego. Zaś mając w ręku taką nić Ariadny — rezurekcję ziem polskich na kresach zachodnich po siedmiu wiekach — któż z nas nie przerzuci jej w przyszłość i nie zrozumie, że nasze kresy wschodnie, związane z macierzą tylą krwi przelanej i tylu wiekami symbiozy, przetrwają również,

i tak samo tryumfalnie do macierzy powrócą. Tak więc, jeżeli, jak nas uczono, *historia magistra vitae*, to zaiste i *vita magistra historiae*.

. . . Tak, jak wędrowiec idący w daleką drogę, od czasu do czasu się odwraca, by okiem rzucić na szlak przemierzony. Za każdym przebytym szmatem drogi widok mu się zmienia. Krajobraz jest niby ten sam a inny. Z nowego zakrętu wszystko przedstawia się inaczej: odkrywają się nowe tajemnice wzgórz i dolin. Każde nowe pokolenie jest takim nowym na drodze narodów zakrętem.

Nie ma ważniejszej dla historyka cnoty nad taką umiejętność interpretacji wzajemnej wieków.

Jest w ślicznej książce Wacława Sobieskiego *Walka o Pomorze* ustęp o tym, że walczący z Zakonem Gdańszczanie i Kaszubi za hasło obrali sobie w wieku XIV-tym: "Kraków! Kraków!"

Rzecz dzieje się w roku 1361:

"Już w roku 1359 Kaźmierz próbował poprzez interwencję papieża Innocentego VI odzyskać Pomorze. Dwa lata później w r. 1361, Polacy w Gdańsku wznosili okrzyk: "Kraków! Kraków!" przeciw Krzyżakom. Było to zawołanie bitewne używane przez Polaków w bitwach z Zakonem (Płowce, Grunwald). Było to wołanie o połączenie z Krakowem, pozdrowienie na cześć zwycięstwa i "krakowskiego" króla".[1])

Ustęp ten, świadczący tak pięknie o organicznej wspólnocie między Pomorzem a przykarpackim Krakowem, zacytowałem był w czasie ostatniego swego przed wojną na polskiej ziemi przemówienia, na zebraniu w Pelplinie, w dniu Cudu nad Wisłą, 15 sierpnia 1939. Cytat zakonkludowałem zapewnieniem, że dziś w r. 1939 zachodzi natychmiastowe reagowanie takie samo — w stronę przeciwną: Kraków wie, że Pomorze i Gdańsk są zagrożone i za hasło swe wziął: "Pomorze! Pomorze!"

. . . Nieraz w czasie wojny, w najczarniejszych chwilach niemieckiej przemocy, myślałem sobie, co moi kaszubscy słuchacze sądzą o tych moich zapewnieniach, tak owacyjnie przez nich pochwyconych? Myślałem o tym nie bez niepokoju, z pewnych odcieniem wyrzutu, że ich macierz polska zawiodła. Dziś wiem, że mógłbym im na nowo w oczy spojrzeć ze spokojem i otuchą: Polska swego Pomorza wrogowi nie oddała, owszem pomnożyła je znakomicie.

Oto jak rok 1361 podaje wątek tragicznym latom 1939-47. *Vita magistra historiae.*

WŁADYSŁAW FOLKIERSKI

---

[1]) Mam niestety w Londynie jedynie tekst niemiecki (*Der Kampf um die Ostsee*, 1933, str. 63). Powyższy tekst polski nie jest tekstem Sobieskiego, a tylko tłumaczeniem niemieckiego przekładu.

---

## ZBIÓRKA NA RZECZ POLAKÓW W NIEMCZECH TRWA NADAL

Ofiary pieniężne przyjmuje Społeczny Komitet Pomocy Obywatelom Polskim w Niemczech: Biuro — 35, Cambridge Gardens, London, W.10. Tel.: LAD 1235/6.

Dary w naturze (odzież, bielizna, obuwie, książki i t.p.) składać należy w składnicy Komitetu, 19, *Redcliffe Square, London, S.W.*10. Tel.: FLA 4165 (godz. 11-1 i 3-6 pp.).

---

**ADAM ŻÓŁTOWSKI**

# Z WRAŻEŃ AMERYKAŃSKICH

KIEDY się czyta wspomnienia jen. Deane'a, b. szefa Misji Wojskowej Amerykańskiej w Rosji, nie można nie być uderzonym faktem, który autor zresztą podnosi, że Rosja nawet w najcięższej potrzebie nie przestała w stosunku do swych sprzymierzeńców kierować się względem na powojenną przyszłość. W przeciwieństwie do tego postępowanie zachodnich mocarstw wobec Rosji nacechowane było obawą, by nie wywołała ona katastrofy przez wycofanie się z wojny. Wzgląd ten nie przestał działać psychologicznie nawet gdy rozwój wypadków uczynił go w znacznej mierze nieaktualnym, a nawyknienie do zaspakajania wszelkich rosyjskich żądań stało się jednym ze źródeł powojennej polityki *appeasement*, na co jen. Deane wyraźnie wskazuje. Ta różnica w stosunku wzajemnym sprzymierzeńców doprowadziła w każdym razie do tego, że kiedy Rosja w lecie roku 1945 stanęła twardą stopą w centralnych Niemczech, Austrii, na Węgrzech i na całych Bałkanach, był to stan rzeczy niewątpliwie odpowiadający nawet najdalszym jej politycznym widokom, podczas gdy zachodni sprzymierzeńcy znaleźli się w obliczu takiego układu stosunków w Europie, na który się chcąc nie chcąc zgodzili, lecz który prędko przedstawić im się musiał jako mało sprzyjający snom o powszechnej pomyślności, którymi społeczeństwa anglosaskie się krzepiły na duchu w czasie wojny. Dlatego to przyjezdny w Ameryce jesienią roku 1946 dowiadywał się, że w ostatnich 12 miesiącach zaszła w usposobieniu tamtejszego społeczeństwa niesłychana zmiana; że Amerykanie karmieni w czasie całej wojny, podobnie jak ich angielscy pobratymcy, zabarwioną oficjalnym optymizmem propagandą na korzyść Rosji, w czasie roku po zakończeniu wojennych działań dochodzili w przyśpieszonym tempie do uświadomienia sobie, że to, co na świecie jest naprawdę, zupełnie nie odpowiada temu, co w ich mniemaniu po wojnie nastąpić miało, lub było powinno.

Nie trzeba przy tym mieć na myśli wyłącznie tylko spraw wybitnie politycznych, które istotnie jednym wiankiem sporów amerykańsko-sowieckich otoczyły całą niemal kulę ziemską od Korei i Chin, przez Persję do Turcji i Grecji, od Triestu do Norwegii, tworząc szczególnie poważną groźbę zawikłań w sercu Europy. Amerykanie z natury rzeczy dosyć bywają skłonni do zamknięcia się w swoich własnych sprawach i niepatrzenia poza granice własnego kontynentu. Tymczasem jednak właśnie po ostatniej wojnie nastąpiły okoliczności, które przekreśliły izolacjonistyczne nastroje. A tak okazało się, że wbrew mniemaniu niektórych komunizm i kapitalizm nie są siłami, które mogą długo obojętnie wobec siebie pozostawać w równowadze. Wszakże w pobliskiej Kanadzie w ciągu roku 1946 wyszły na jaw niepokojące szpiegowskie podkopy, a infiltracje komunistyczne okazały się tak silne, że prowadzi się cały szereg dochodzeń w sprawie "nieamerykańskich działalności", a ostatnio Prezydent Truman wystąpił z wielką i zdecydowaną akcją przeciwko komunistom w aparacie państwowym Stanów Zjednoczonych.

Niemiłe te odkrycia zbiegły się, a może i wywołały to, co przybyszowi z Europy przedstawia się jako pewnego rodzaju wezbranie szowinizmu amerykańskiej tradycji, która na razie przynajmniej zastępuje w Ameryce europejski nacjonalizm. Amerykanie nie uniknęli pewnego upojenia swoim zwycięstwem, tym bardziej, że narzędziem tego zwycięstwa było nie co innego, jak gospodarcza i techniczna przewaga Stanów Zjednoczonych nad resztą świata. Z przekonaniem o takiej wyższości, czasem nieco naiwnie wypowiadanej, spotkać się można często, a dotyczy ona nie tylko maszyn i aparatów, ale także ustroju społecznego i gospodarczego. Jakiekolwiek mogą być od tej reguły wyjątki lub wpływy wywrotowe, czy choćby reformistyczne, ogromna większość Amerykanów nie jest wcale nastrojona na nutę wahania i wątpliwości. Jest ona głęboko przeświadczona, że tylko ustrój oparty na własności prywatnej i prywatnej inicjatywie zdolny jest wydać takie osiągnięcia w materialnym dobrobycie i technicznej wydajności, jak te, które Ameryka osiągnęła. Dlatego też jakiegokolwiek rodzaju wichrzenia rewolucyjne spotykają się ze zdecydowanym i instynktownym sprzeciwem przeważającej części społeczeństwa. Dochodzą do tego względy i rozważania bardzo ścisłego rodzaju.

Jeszcze na jesieni roku 1946 można się było spotkać ze zdaniem, że wewnętrzny rynek amerykański tak jest wygłodzony przez lata wytwarzania tylko na potrzeby wojny, że musi wręcz opędzać się zagranicznym klientom. Pod wiosnę roku bieżącego już zgoła inne odzywają się tony. Mała tylko część produkcji amerykańskiej przeznaczona być może na wywóz, ale ta część wywieziona być musi pod karą najcięższych konsekwencji dla życia gospodarczego amerykańskiego. Jest ono bowiem bardzo potężne, ale właśnie dlatego, jak każda potężna maszyna, bardzo delikatne i wrażliwe na każde najdrobniejsze uszkodzenie. Technicznie nastawionemu umysłowi amerykańskiemu nasuwa się pod tym względem wiele wymownych porównań; tak np. jest jasnym, że ziarno piasku, w tłoku lokomotywy stosunkowo niewinne, w samolocie wywołać może katastrofę. W każdym bądź razie wszyscy w Ameryce rozumieją, że na to, ażeby przemysł amerykański mógł iść z tym rozmachem, jaki jest warunkiem słynnego wysokiego standartu życiowego obywateli Stanów, musi na świecie być nie tylko pokój trwały budzący zaufanie, ale powinny być "drzwi otwarte" nie tylko w Chinach, o co walczono dawniej, ale o ile możności wszędzie, a regiony gospodarcze bierne i handlowo niepojemne powinny być jak najszybciej ograniczone i likwidowane. Wiadomo, jak z takimi postulatami koliduje obecny stan rzeczy na świecie, przy którym pół Europy pozostaje poza normalnym życiem gospodarczym, na całym świecie jest niepewność, a w Chinach wojna domowa na wielką skalę.

Z tych to wszystkich względów nie ulega wątpliwości, że w obecnej chwili mocna i stanowcza polityka zagraniczna jest w Stanach Zjednoczonych popularna i na popularności z dniem każdym zyskuje. Hasło: *Get tough with Russia*, do niedawna wypowiadane nieśmiało, odzywa się coraz powszechniej i, rzecz szczególnie ważna dla świata, na tym punkcie następuje pewnego rodzaju współzawodnictwo pomiędzy obiema politycznymi partiami. Wiadomo bowiem, że zwycięstwo Republikanów jest dotychczas dopiero połowiczne, osiągnięte sukcesy wyborcze są dla Partii Republikańskiej cenne, ale decydujące byłoby dopiero zdobycie prezydentury za półtora roku. Wie to doskonale Partia Demokratyczna i nie daje za wygraną, przeciwnie prowadzi walkę obronną z największą determinacją, a nie brak jej bynajmniej środków działania, ponieważ ma jeszcze w ręku

administrację państwową. I w tym związku kartą atutową bardzo umiejętnie wygraną przez Demokratów była nominacja jen. Marshalla Sekretarzem Stanu. Krótki pobyt w Stanach nie jest jeszcze tytułem do wypowiadania zbyt śmiałych poglądów na historię i znaczenie tej nominacji na widowni polityki wewnętrznej. Faktem jest jednak, że jenerał należy do ludzi zmarłego Prezydenta Roosevelta i że jego nominacja podyktowana była nie tylko względami na jego doświadczenie i zdolności, lecz także dla wzmocnienia Prezydenta i jego partii. Z niedowierzaniem przyjmować należy wiele pogłosek, które po jego przyjeździe do Stanów Zjednoczonych obiegały. Faktem jest, że jego rola w Chinach nie była ani wdzięczna, ani szczęśliwa, a jednak jen. Marshall jest wojskowym najwyższej miary, autorytet jego w czasie wojny był ogromny i wiarogodnym jest przypisywane mu oświadczenie, że będzie nieustępliwie bronił bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych w najszerszym pojęciu. Sensacyjne wystąpienie Prezydenta do połączonych Izb Kongresu o pomocy dla Grecji i Turcji niewątpliwie potwierdziło te wiadomości o postanowieniach, z jakimi jen. Marshall objął funkcje Sekretarza Stanu Unii. Że jego nominacja nie osłabiła Demokratów, na to wskazują próbne głosowania publiczności, tak modne w Ameryce, które w ostatnich czasach wykazały stan prawie że równowagi między obu politycznymi obozami. Ameryka jest krajem demokratycznym. Opinia publiczna ma tu istotnie wpływ na bieg wydarzeń i nie może być lekceważona, to też powiedzieć można, że lekkomyślnie silnych słów się nie używa. Do końca lutego r.b. trudno było gdziekolwiek spotkać się z wyraźną aluzją do zbrojnego konfliktu. Formuła wówczas używana brzmiała: "zdecydowana polityka zagraniczna bez względu na skutki". Tak też istotnie polityka amerykańska będzie zapewne wyglądała. Nie mniej znaczące jest zrozumienie w Stanach Zjednoczonych, że trwa zasadniczy konflikt pomiędzy wszystkim tym, co one reprezentują, a systemem narzucanym przez drugą wielką potęgę, t.j. przez Związek Sowiecki. Nic też dziwnego, że jedno z pism amerykańskich zauważyło w dniach ostatnich, iż po mowie Prezydenta Trumana Amerykanie doznali wstrząsu, zdając sobie nagle sprawę, że w dniu orędzia Prezydenta jeden świat się skończył, a drugi się zaczął.

Jest to zgodne z tymi myślami, z jakimi w ostatnich tygodniach opuszczało się Amerykę. Że jest ona istotnie Nowym Światem, na to zgodzi się każdy, kto tam pobył choć trochę. Nie znaczy to, by ten świat nowy pod każdym względem nad starym górował. Przeciwnie, są pewne cechy starych cywilizacji, które żadnym pośpiechem, ani doraźnym wysiłkiem zastąpić się nie dadzą i których w Stanach Zjednoczonych braknie Europejczykowi. A jednak Stany Zjednoczone są nie tylko od krajów europejskich materialnie potężniejsze. Są pewne europejskie tradycje z istotą europejskiej cywilizacji organicznie związane, które za Oceanem przechowały się bodaj we formie czystszej i mniej zamąconej, aniżeli wśród społeczeństw samej Europy. Należy do nich bodaj tradycja politycznej i osobistej wolności, która w Europie zasypana jest co najmniej pyłem tylu spustoszeń, że jej już dopatrzyć się nie można. W Ameryce żyje ona istotnie i jeżeli co rozgrzewa serce Polakowi, który znajdzie się w Stanach Zjednoczonych, to niezmierna śmiałość i bezwzględność, z jaką tam jest w obyczaju zdanie swoje wypowiadać bez względu na prądy, które przemagają w danej chwili. Co więcej, jak się już wspomniało, Amerykanie silnie w to wierzą, że wolność indywidualna i nieskrępowana inicjatywa jest także czynnikiem gospodarczym zgoła nie do zastąpienia, i z tym większym bronić jej są gotowi zdecydowaniem. Oczywiście dokonały się i w Ameryce przeobrażenia, które stanowią poważny wyłom w tej zasadzie, ale w historii liczy się to, co przeważa i co ton nadaje. To też biorąc na siebie nową rolę obrońców, nie tylko wolności własnej, ale i cudzej w dobrze zrozumianym własnym interesie, Stany Zjednoczone podejmują walkę, która w znacznej mierze była sensem całej europejskiej historii od samego jej zarania.

Stąd też kiedy w Waszyngtonie widzi się pomnik Kazimierza Pułaskiego lub Kościuszki, przychodzi na myśl mimo woli, że nieomylny instynkt kierował bodaj krokami tych wielkich Polaków i że służąc sprawie niepodległości Ameryki nie zboczyli na bezdroża, lecz zasłużyli się dobrze przyszłości.

ADAM ŻÓŁTOWSKI

STANISŁAW OŻGA

# KRYZYS BRYTYJSKI

SZEŚĆ lat wojny totalnej wywarło na sytuację gospodarczą Wielkiej Brytanii wpływ tak silny, iż dopiero obecnie, a więc po blisko dwuletnim okresie czasu, jaki upłynął od zakończenia wojny, społeczeństwo angielskie zaczyna sobie w pełni zdawać sprawę z ceny, jaką trzeba płacić za zwycięstwo.

Gdy w ciągu stycznia b.r. rząd brytyjski, stanąwszy w obliczu katastrofalnie małych zapasów węgla, zdecydował się na drastyczne ograniczenie jego konsumpcji, powodujące w efekcie swym niemal całkowite zamarcie życia gospodarczego przez cały miesiąc, ostra fala krytyki ze strony całego społeczeństwa zwróciła się w pierwszym rzędzie przeciwko ministrowi Shinwellowi, którego resortowi podlegają sprawy paliwa. Pomimo dużej rzeczywiście winy ministra Shinwella, który swe obliczenia i plany opierał na wysoce optymistycznych założeniach, przekreślonych całkowicie przez ostrą zimę, bardzo szybko stało się w pełni widoczne, że kryzys węglowy jest jedynie jednym z szeregu symptomów, choć bezsprzecznie jednym z najważniejszych, bardzo poważnego kryzysu gospodarczego Wielkiej Brytanii. Do zrozumienia tego przyczynił się w dużej mierze wydany przez rząd w lutym b.r. *White Paper*, t.j. *Economic Survey for* 1947, oraz debata nad tym raportem w Parlamencie.

Raport rządowy w formie zwięzłej daje zarówno przegląd sytuacji gospodarczej kraju za okres czasu od lipca 1945 r. do grudnia 1946 r., t.j. w okresie pierwszych 18 miesięcy pokoju, jak i analizuje przypuszczalny jej rozwój w 1947 r. Raport nie nakreśla zatem jakiegoś dłuższego czy nawet średniofalowego planu gospodarczego dla Wielkiej Brytanii, ograniczając się raczej do wypunktowania tylko pewnych fundamentalnej wagi celów dla polityki gospodarczej rządu w bieżącym roku. Niemniej przeto konieczność długofalowego planu gospodarczego, który by nie tylko koordynował, ale i kierował działalnością produkcyjną tysięcy organizacji i osób indywidualnych na właściwe, z punktu widzenia całości, tory — jest podkreślona w raporcie bardzo silnie. "Istnieje zasadnicza różnica — stwierdza przy tym *White Paper* — pomiędzy totalitarnym a demokratycznym planowaniem. Pierwsze z nich podporządkowuje wszelkie pragnienia i preferencje jednostki żądaniom państwa. Dla osiągnięcia tegoż celu stosuje też ono różnorodne metody przymusu w stosunku do jednostki, które pozbawiają ją wolności wyboru. Tego rodzaju metody mogą okazać się koniecznością nawet w krajach demokratycznych w czasie wyjątkowych okoliczności wielkiej wojny. Dlatego też naród brytyjski dał w ręce swego rządu w czasie wojny władzę kierowania pracą ludzką. W normalnych jednakże czasach społeczeństwo kraju demokratycznego nie odstępuje swego prawa wyboru pracy rządowi. Rząd demokratyczny zatem musi prowadzić swą planową działalność gospodarczą w sposób zapewniający zachowanie maksimum swobody wyboru pracy dla poszczególnych obywateli".

Definicja powyższa, charakteryzująca podejście rządu do planowania gospodarczego, zasługuje na specjalną uwagę jako oficjalna wykładnia tego pojęcia. Zagadnieniu planowania gospodarczego i konieczności zastąpienia nim gospodarki kapitalistyczno-liberalnej poświęcił duży ustęp swego przemówienia w Parlamencie — inaugurującego debatę gospodarczą — prezydent *Board of Trade*, sir Stafford Cripps, dając ponad to szereg wyczerpujących wyjaśnień, w jaki sposób rząd zamierza zorganizować cały mechanizm planowania gospodarczego w ramach administracji państwowej. Niestety poważnym mankamentem przemówienia ministra Crippsa było niedość wyraźne i sprecyzowane wyjaśnienie programu gospodarczego, jaki rząd zamierza w sposób planowy realizować. Zarówno bowiem *White Paper* jak i debata parlamentarna raczej ograniczyła się do diagnozy choroby, jaką przechodzi organizm gospodarstwa brytyjskiego, niż zajęła się znalezieniem właściwych środków do jej wyleczenia.

Jakąż jest sytuacja gospodarcza Wielkiej Brytanii w chwili obecnej?

W ciągu pierwszych szesnastu miesięcy pokoju t.j. do końca 1946 r. — według danych raportu rządowego — ilość osób zatrudnionych w siłach zbrojnych i w przemysłach wojennych uległa obniżeniu do 1/5 swego stanu z końca wojny. Ogółem zatem ponad 4 $^1/_4$ miln. osób zostało zdemobilizowanych z wojska (oczywiście w pewnej mierze powstałe na skutek tego luki uległy zapełnieniu nowym zaciągiem młodszych roczników), zaś 3$^1/_2$ miln. zostało zwolnionych z przemysłów zbrojeniowych. W rezultacie z końcem ubiegłego roku jedynie 10% posiadanego przez W. Brytanię rezerwuaru pracy ludzkiej zatrudnionych było przy szeroko pojętej obronie kraju, w porównaniu z 42% w chwili zakończenia działań wojennych.

Przesunięcia te pozwoliły na poważny wzrost produkcji przemysłowej, przy czym specjalnie duży nacisk położony został na przemysły produkujące na eksport i reeksport, a to celem uzyskania środków niezbędnych na pokrycie poważnego deficytu w bilansie płatniczym. Mimo to jednak iż eksport wzrósł w 1946 r. do 110-115% swego stanu z 1938 r., nie był on w stanie pokryć importu, który wynosił jedynie 70—75% stanu z 1938 r. Deficyt, który doszedł w ubiegłym roku do sumy £450 miln., został w głównej mierze pokryty pożyczką amerykańska $600 miln. t.j.

£150 miln. (oraz kredytami uzyskanymi w Kanadzie: § kanad. 450 miln. t.j. £130 miln.). Należy zaznaczyć, iż deficyt ten byłby jeszcze większy, gdyby W. Brytania zdołała uzyskać dostawy tych środków żywności i surowców, o które zabiegała na rynkach światowych.

Skromne na ogół osiągnięcia wykazało gospodarstwo brytyjskie w dziedzinie budownictwa — jedynie 58 tysięcy nowych oraz 92 tysiące tymczasowych domów zostało wybudowanych, dając dach nad głową zaledwie 300 tysiącom rodzin. Cyfry stosunkowo bardzo niskie w porównaniu z istniejącymi potrzebami.

Małe również zmiany przyniósł okres pierwszych 18 miesięcy w dziedzinie zaopatrzenia ludności w środki żywności. Dieta społeczeństwa brytyjskiego pozostała niemal od czasu wojny niezmieniona, pewien bowiem wzrost w dostawach artykułów, które wprowadziły do niej większą rozmaitość, został w swym dodatnim efekcie zanulowany zwiększeniem się braków w podstawowych dla spożycia środkach żywności. Oczywiście trudna w tej dziedzinie sytuacja światowa wywarła poważny wpływ i na stan wyżywienia ludności W. Brytanii.

Zwiększenie się produkcji i konsumpcji, jakie zaznaczyło się w ciągu 1946 r., spowodowało silny wzrost zapotrzebowania w pierwszym rzędzie węgla i energii elektrycznej, następnie zaś stali oraz środków transportowych. Produkcja węgla w ciągu ubiegłego roku uległa jednak zwiększeniu tylko o 3.6% w porównaniu z 1945 r., co okazało się całkowicie niewystarczające dla pokrycia wzrastającego zapotrzebowania przemysłu w miarę przestawiania się gospodarstwa brytyjskiego z produkcji wojennej na pokojową. W konsekwencji skromne stosunkowo osiągnięcia przemysłu w 1946 r. stały się możliwe do zrealizowania tylko dzięki sięgnięciu do zgromadzonych w poprzednich latach rezerw. W ubiegłym roku zużytych z nich zostało około 5 miln. ton węgla.

Zapotrzebowanie energii elektrycznej przekroczyło również jej produkcję, podobnie jak i nieuzupełniany w normalnych rozmiarach tabor kolejowy był stale eksploatowany do maksymalnych swych możliwości. Zapotrzebowanie na stal było również większe niż jej produkcja krajowa oraz import. W rezultacie wysiłek wytwórczy społeczeństwa brytyjskiego był poważnie hamowany ograniczonymi rozmiarami produkcji przemysłów kluczowych oraz usług. Z końcem 1946 r. gospodarstwo W. Brytanii doszło w procesie swej rekonstrukcji do tego stanu, iż zwiększenie wysiłku jego sił wytwórczych stało się życiową wręcz koniecznością, równocześnie jednak osiągnięcie tego bez podwyższenia produkcji węgla i energii elektrycznej (napotykające na bardzo poważne trudności) nie było możliwe.

Jaki będzie przypuszczalny rozwój sytuacji w najbliższej przyszłości?

Raport rządowy jest raczej pesymistyczny. Ograniczając się do nakreślenia programu działania jedynie na 1947 r., stwierdza on równocześnie, że W. Brytania w tymże roku nie będzie rozporządzała zasobami dostatecznymi, by dokonać tego, czego by pragnęła. „Będziemy mieli zaledwie środki konieczne do osiągnięcia tego, czego dokonać bezwzględnie musimy" — stwierdza rząd w swoim *White Paper*. Pokrycie wszelkich istotnych potrzeb gospodarczych społeczeństwa brytyjskiego wymagałoby bowiem zwiększenia w 1947 r. produkcji o 25%, co oczywiście jest zupełnie niemożliwe.

W tym stanie rzeczy program, jaki sobie rząd brytyjski zakreśla na rok bieżący, jest z konieczności bardzo skromny. Przewiduje on mianowicie dalsze zmniejszenie sił zbrojnych z 1.427.000 w grudniu 1946 r. na 1.087.000 z końcem 1948 r., oraz odpowiednią redukcję rąk roboczych, zatrudnionych przy dostawach i zaopatrywaniu wojska. W obecnej sytuacji międzynarodowej krok ten należy oceniać jako narzucony raczej koniecznością gospodarczą, niż podyktowany brytyjską racją stanu.

Problem obrotów handlowych z zagranicą, a zatem uzyskanie odpowiednich nadwyżek eksportu, posiada nadal fundamentalne wręcz znaczenie dla całej sytuacji ekonomicznej kraju. Od pomyślnego rozwiązania jego zależy bowiem zarówno rozluźnienie obecnych ograniczeń w nabywaniu środków żywności, jak i uzupełnienie oraz zmodernizowanie urządzeń technicznych przemysłu, bez czego nie tylko podwyższenie, ale nawet utrzymanie obecnego poziomu życia jest zupełnie niemożliwe. Tak zatem import w bieżącym roku ulec musi zwiększeniu przypuszczalnie do 80—85% swego stanu z 1938 r. (70% w roku ubiegłym), przy czym ewentualne podwyższenie racji żywnościowych powodowałoby konieczność jeszcze wydatniejszego wzrostu przywozu. Dla pokrycia tego importu eksport i reeksport będzie musiał dojść do poziomu 140% stanu z 1938 r. (110—115% w roku ubiegłym), co jednakże stanowi cel niezwykle trudny do osiągnięcia, zwłaszcza wobec parotygodniowej bezczynności przemysłu w miesiącach zimowych na skutek braku węgla i niedostatecznej produkcji energii elektrycznej. W programie eksportowym główny nacisk położony został na wywóz fabrykatów, który ma dojść do 165% stanu z 1938 r. Nie jest natomiast przewidywane zwiększenie w bieżącym roku wywozu tekstylii oraz stali.

Przyjmując nawet optymistycznie, iż zakreślony na 1947 r. cel zostanie osiągnięty, przypuszczalny deficyt w bilansie płatniczym dojdzie do kwoty £350 miln. i będzie musiał być pokryty pożyczkami zagranicznymi. Jest to suma niezwykle wysoka, zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę, że już tylko £955 miln. pozostało z początkiem bieżącego roku z udzielonych W. Brytanii kredytów amerykańskich i kanadyjskich, a ustalona uprzednio cyfra niedoborów jest oparta na kalkulacji raczej optymistycznej. W perspektywie dłuższofalowej zatem W. Brytania stoi w obliczu maksymalnego wysiłku w kierunku ekspansji swego eksportu, zwłaszcza, że i import będzie musiał ulec pewnemu zwiększeniu. Osiągnięcie tu poziomu 175% stanu z 1938 r. stanowić musi cel polityki gospodarczej rządu w najbliższych latach. Oznacza to, iż co najmniej 25% zdolności produkcyjnej gospodarstwa angielskiego będzie musiało być poświęcone pracy na rzecz eksportu. Bez sprzedaży bardzo znacznej części swych produktów za granicę nie ma widoków dla utrzymania obecnej stopy życiowej społeczeństwa brytyjskiego.

Równym pod względem znaczenia dla przyszłości ekonomicznej kraju zagadnieniem jak eksport jest przywrócenie pełnej zdolności wytwórczej i wydajności kluczowych przemysłów i usług. W dziedzinie tej problemem fundamentalnym w 1947 r. jest produkcja węgla. Ostatnio wynosiła ona 189 miln. ton rocznie, podczas gdy konsumpcja doszła do 194 miln. ton, a więc do swego poziomu przedwojennego. W chwili obecnej wszelkie, w latach ubiegłych zgromadzone rezerwy zostały już całkowicie wyczerpane tak, iż zwiększenie wydobycia węgla jest niemal kwestią życia lub śmierci dla życia gospodarczego W. Brytanii. Rząd w swym raporcie ustalił cyfrę 200 miln. ton jako minimalny cel dla produkcji węgla w roku bieżącym. Cyfra ta uznana została jednakże za zbyt niską nie tylko w czasie dyskusji w Parlamencie brytyjskim oraz przez *Federation of British Industries*, ale nawet przez *Trade Union Council* a zatem Związki Zawodowe, które ze swej strony wysunęły cyfrę 220 miln. ton jako realną dla osiągnięcia granicę wydobycia w roku bieżącym. By zrealizować te plany rząd proponuje zwiększyć liczbę górników z 695.000 w chwili obecnej do 730.000 w końcu bieżącego roku, w drodze zatrudnienia m.i. i znaczniejszej liczby Polaków, ponad to zaś podwyższyć bardzo niską stosunkowo wydajność pracy (259 ton rocznie na górnika w 1946 r., wobec 308 ton w 1937 r.).

Niemniej jednak możliwość podwyższenia produkcji węgla do cyfry 220 miln. ton rocznie wydaje się wysoce problematyczna, zwłaszcza biorąc pod uwagę, iż od maja b.r. ma zostać w górnictwie wprowadzony 5-dniowy tydzień pracy, i nie ma widoków, by związek zawodowy górników zechciał zrezygnować z uzyskanej w tym zakresie od rządu obietnicy. Biorąc to niewątpliwie pod uwagę sir Stafford Cripps na konferencji prasowej w dn. 2 kwietnia b.r. określił cyfrę wysuwaną przez T.U.C. dla wydobycia węgla w bieżącym roku raczej jako "*wishful thinking*", a zatem — jako pobożne jedynie życzenie.

Problem pracy ludzkiej w obu wspomnianych wyżej aspektach t.j. zarówno ilości rąk roboczych jak i jakości pracy, a zatem jej wydajności we wszystkich dziedzinach produkcji przemysłowej, posiada dla gospodarstwa brytyjskiego znaczenie jak najbardziej zasadnicze i podstawowe. Nie mając bezpośredniego wpływu na zwiększenie wydajności pracy robotników, rząd stara się rozwiązać ten problem przez zwiększenie ilości rąk roboczych, sięgając do rezerwuaru polskiego i importu pracy zza granicy. Silna opozycja, z jaką występowały początkowo brytyjskie związki zawodowe przeciwko tym pociągnięciom, w obliczu pogłębiającego się kryzysu i zrozumienia jego źródeł ostatnio poważnie osłabła.

Czy przy pomocy proponowanych w *White Paper* metod uda się rządowi brytyjskiemu osiągnąć te skromne zresztą cele — które w sumie skupiają się na zwiększeniu produkcji przemysłowej dla uzyskania niezbędnej nadwyżki eksportu z jednej strony, zaś niedopuszczeniu do zwiększenia ograniczeń w racjonowaniu żywności z drugiej, — trudno przesądzić. Raczej przypuszczać można, iż spowodowana kryzysem węglowym przerwa w produkcji całego niemal przemysłu poważnie utrudni ich realizację.

Trudności, jakie przeżywa gospodarstwo brytyjskie w następstwie niezwykle dlań kosztownej wojny, mają charakter strukturalny a nie koniunkturalny. Okres dwuletniego blisko już pokoju nie przyniósł też nie tylko spodziewanego odprężenia w ograniczeniach wojennych (z wyjątkiem kilku mniej ważnych odcinków), ale nawet szerszych koncepcji rozwiązania trudności gospodarczych tego typu, jak np. "*plan Monneta*" we Francji. Nie wniosła również konstrukcyjnych elementów debata parlamentarna w marcu b.r. ani też dyskusja prasowa.

Przypuszczać można, że nie ułatwi również znalezienia rozwiązania projektowana w bliskiej przyszłości międzynarodowa konferencja w Genewie, której celem ma być tak ustalenie zasad, w myśl których będzie miała się dokonywać wymiana międzynarodowa, jak i powołanie do życia specjalnej organizacji międzypaństwowej dla regulowania handlu międzynarodowego. Konferencja ta, której inicjatorem są Stany Zjednoczone, będzie niewątpliwie pod silnym wpływem koncepcji gospodarczych administracji Prezydenta Trumana posiadającej w tej dziedzinie bezsprzeczni,

wszelkie atuty w grze o przyszły układ stosunków międzynarodowych. Otóż koncepcje te, sprecyzowane w mowie Prezydenta wygłoszonej w dniu 6 marca b.r. w Waco, Texas, są — ogólnie rzecz biorąc — właściwie bardzo zbliżone do założeń brytyjskiej polityki liberalnej z dziewiętnastego wieku. Wolny handel oraz swobodna przedsiębiorczość prywatna stanowią główne hasła tez gospodarczych Prezydenta Trumana. Program ten — rzecz oczywista — nie odpowiada interesom brytyjskim w chwili obecnej, sytuacja bowiem tego kraju, i to zarówno w dziedzinie gospodarczej jak i politycznej, uległa bardzo zasadniczej zmianie, i to na gorsze, od końca dziewiętnastego wieku. Jeśli jednak Wielka Brytania znajdzie się w obliczu konieczności przyjęcia tez amerykańskich, wówczas stanie wobec problemu szukania dalszej pomocy finansowej w Stanach Zjednoczonych. Podjęcie starań o nową pożyczkę stanie się rzeczą aktualną a nawet palącą. Konsekwencją tego będzie prawdopodobnie dalsze uzależnianie się W. Brytanii od Ameryki i to nie tylko w dziedzinie gospodarczej ale i politycznej. Przypuszczalnie Stany Zjednoczone nie odmówią dalszej pomocy finansowej Zjednoczonemu Królestwu, ale uwarunkują ją odpowiednimi klauzulami i zastrzeżeniami natury politycznej. Jest rzeczą charakterystyczną np., iż w styczniu b.r., w czasie pobytu w Londynie wycieczki byłych wojskowych amerykańskich, jeden z wybitniejszych jej członków, były generał, miał się podobno wyrazić gdy dyskutowana była kwestia dalszej pomocy kredytowej Ameryki dla Wielkiej Brytanii, iż "lotniskowiec nie przedstawia żadnej korzyści, jeśli jest już częściowo w rękach nieprzyjacielskich", dając w ten sposób jakoby do zrozumienia, że w konflikcie dyplomatycznym amerykańsko-sowieckim Wielka Brytania musi się jasno zdecydować po stronie Stanów Zjednoczonych jeśli pragnie liczyć na ich pomoc gospodarczą.

Jak poważne następstwa polityczne wywołuje ekonomiczne osłabienie Zjednoczonego Królestwa widać też również z objawów niemożności utrzymania przez nie swych pozycji na życiowych nawet szlakach Imperium Brytyjskiego, jak Morze Śródziemne (Grecja), Środkowy Wschód (Turcja, Palestyna, Egipt), Indie. Wszędzie w miejsca opuszczone przez W. Brytanię wchodzą natychmiast Stany Zjednoczone, by nie dopuścić do powstania próżni, którą wypełnić mogłyby Sowiety bądź bezpośrednio, bądź za pośrednictwem swych marionetkowych rządów miejscowych.

Czy obecne wycofanie się Wielkiej Brytanii przekreśli na stałe, lub na dłuższy okres czasu jej wielkomocarstwową pozycję — jako partnera równorzędnego Stanom Zjednoczonym i Związkowi Sowieckiemu — trudno jest jeszcze obecnie przewidzieć. Zapewne decydować będzie o tym jeszcze wiele elementów nowych, których rola w obecnej fazie gry sił międzynarodowych jest na razie niewielka. Do takich np. należy przyszła pozycja Europy, której W. Brytania jest przodującym mocarstwem. Należy bowiem zdawać sobie sprawę, iż im bardziej rozluźniają się węzły łączące W. Brytanię z jej Dominiami i posiadłościami zamorskimi, tym silniej wiąże się jej przyszłość z losami kontynentu europejskiego. W każdym razie byłoby rzeczą zbyt pochopną i powierzchowną już na podstawie obecnych trudności gospodarczych i politycznych Anglii przesądzać o przyszłości jej wielkomocarstwowego stanowiska. Oczywiście dużo, a właściwie najwięcej zależyć będzie od samego narodu brytyjskiego, a mianowicie, czy będzie zdolny do nowego wielkiego zrywu, na jaki zwykle w ciężkich chwilach swej historii dotychczas się zdobywał.

STANISŁAW OŻGA

# SPOJRZENIE W GŁĄB

**Od redakcji:** *Zamieszczając poniżej przemówienie portugalskiego ministra oświaty Caero da Matta, obecnego ministra spraw zagranicznych i b. delegata do Ligi Narodów, rejestrujemy poważny głos z Półwyspu Iberyjskiego, stanowiącego od wieków istotny składnik naszej cywilizacji.*

*Przemówienie to analizujące przyczyny kryzysu międzynarodowego utrafia w sedno sprawy, nad którą głowią się sztaby polityczne, techniczne i wojskowe.*

*Prof. da Matta, doktor honoris causa uniwersytetu w Madrycie, wygłaszając swe przemówienie w listopadzie ub.r., akcentuje rolę, jaką Hiszpania i Portugalia odegrały w powstaniu i rozwoju kultury.*

*Przemówienie to będące głosem rozsądku zmaltretowanej Europy—drukujemy z nieznacznymi tylko skrótami.*

ŁĄCZĄ nas podobieństwa myśli i interesów gospodarczych, chrześcijański ideał życia i poczucie honoru narodowego, duch poświęcenia i patriotyzm, który opiera się wszelkim pokusom rozkładowym i wszystkim zastrzeżeniom, wreszcie częstokroć te same rywalizacje, które zarówno między Hiszpanami, jak i między Portugalczykami nie rzadko wzburzają opinię i fałszują zasady i fakty. Wprawdzie język, którym mówimy, może być różny, lecz wspólny mianownik idei jest zawsze ten sam. Tablica wartości moralnych jest ta sama; istnieje to samo pragnienie uniwersalistyczne, głęboka miłość doktryn, twórczości i dzieł obu narodów.

Kiedy w pewnym momencie historii nowe koncepcje niszczą stary pogląd na świat, Hiszpanie i Portugalczycy są często ich wyrazicielami a czasem twórcami. Idea "misji" w moralności politycznej, która według genialnego Eugenio D'Ors była jednym z wynalazków, jaki Hiszpania wniosła do kultury, nie była obca także duchowi portugalskiemu w okresie Odrodzenia. "Hispani omnes sumus", jak mówił cztery wieki temu sławny humanista portugalski Andre de Rozende. Nasz drogowskaz moralny jest ten sam. Ta sama ojczyzna duchowa.

Staję przed wami w tej mrocznej i bolesnej godzinie, jaką jest schyłek każdej epoki historycznej, gdy wielkie nieznane stoi przed niespokojnym światem i to właśnie w chwili, gdy kryzys jakiego historia nigdy nie znała porusza fundamenty nowoczesnej cywilizacji, właśnie w chwili, gdy mogłaby ona szczycić się, iż przez swe odkrycia naukowe potrafiła zmienić życie ludzkie i zdobyć władzę nad naturą.

Wiedza zwykle była uważana za ducha opiekuńczego ludzkości. Zbiera ona dziś, przez pewnego rodzaju anarchię w dziedzinie wynalazków, żniwo ruin większe niż to, które pozostawili wielcy zdobywcy dawnych czasów. Jeśli byśmy mogli sądzić o znaczeniu cywilizacji na podstawie ilości spraw sprzecznych z którymi ona walczy — sprzeczności, które są często kwestią formuł czy nawet słów,— zobaczylibyśmy, że nie mamy czego zazdrościć okresom najbardziej burzliwej przeszłości.

Fala ciemnych sił rozciąga się na cały nowoczesny świat, powodując wszelkie nieporozumienia i mistyfikacje. Można by powiedzieć, że człowiek dzisiejszy myśli więcej o mąceniu pojęć niż o poznaniu, więcej o zwalczaniu niż o tworzeniu. Prawie powszechna jest choroba doktryn i uczuć przesadzonych. Wysiłek więcej niż 20 wieków, realizowany przez świat zachodni celem stworzenia wysokiego humanizmu politycznego, wydaje się zachwiany i jeżeli nowy porządek rzeczy, który wynurzy się z ziemi spustoszonej wojną, spośród szczątków struktury polityczno-społecznej, już przestarzałej, nie potrafi oprzeć się na głębokiej filozofii moralnej, która głosiłaby poświęcenie wszystkiego na ołtarzu wspólnego dobra, nasza cywilizacja podzieli los tych, które pozbawione mocnych podstaw moralnych spoczywają na martwym dnie historii.

Istnieje obecnie zło bardziej poważne od nawet najbardziej silnych konfliktów dyplomatycznych: to duch wojny, który przyczyniwszy się do rozkwitu bohaterstwa w jego najpiękniejszych formach w dalszym ciągu fascynuje świat. Jesteśmy w okresie zawieszenia broni, podczas gdy byłoby koniecznością, abyśmy się znaleźli w stanie pokoju o obfitych i korzystnych plonach.

Istnieje bez wątpienia wyraźny antagonizm interesów między wielu państwami; jednak nie osiągnąłby on obecnego charakteru, gdyby dusze nie rzuciły się jak w przepaść w niezmierną pustkę, jaką pozostawiła wojna. Społecznie, politycznie, duchowo, istnieje przepaść między niektórymi państwami zwycięskimi w tej wojnie, o ile w ogóle byłoby możliwe powiedzieć, że są narody zwycięskie, gdy osiągają one sukcesy poświęcając pewne zasady.

Po przejściu niewielu miesięcy od chwili zakończenia największej z wojen, pierwszej, która wybuchła w świecie pod znakiem unicestwienia, nie jest trudno dostrzec koniec wielkiej iluzji pokoju.

Być może, że musimy się zadowolić myślą, iż wojny są pewną stałością historyczną (czyż nie mówi nam Arystofanes, ten pierwszy wielki doktryner pacyfistyczny, iż w dramacie ludzkim pokój był tylko antraktem?). Byłoby pożałowania godne, gdybyśmy musieli zrezygnować ze światowej organizacji pokoju powracając do klasycznego systemu aliansów opartych na ciasnych kołach interesów. Bezpieczeństwo kolektywne, krucha bariera przeciw chciwości państw, wzniesiona jako koncepcja abstrakcyjna, rozwodniona w niewyraźnych ogólnikach a więc zredukowana prawie do zera, załamała się w 1938 r. w Monachium.

Ludzie i państwa, które zdołały przeżyć wojnę, wiele z nich przy tym już niezdolnych do wykuwania własnej przyszłości, próbują na próżno znaleźć w ruinach cokolwiek, co by mogło im dać nadzieję. Nieszczęście bez przykładu w dziejach spada na rodzaj ludzki. Pękł łańcuch, straciło się równowagę. Gdzież jest to społeczeństwo dusz, o którym mówił Paul Valéry? A przecież narody nigdy nie miały większej zdolności przyjmowania idei sprawiedliwości społecznej i udoskonaleń techniki, jak właśnie w tych dniach wielkiej słabości. Pomimo, że to, co zjawia się przed naszymi oczyma, jest głęboko niepokojące, nie chcemy przenosić interesu nad prawo, dawać pierwszeństwa niebezpiecznym ideologiom lub przestarzałym przesądom przed zasadami humanitarnej sprawiedliwości, ani też czynić ideału cywilizacji przedmiotem targów między państwami. Nie chce się niszczyć w głębi dusz ani też w sposobie życia ludów tych zasad niezastąpionych niczym, bez których człowiek traci tę część boskiej substancji, jaka weń została tchnięta przy stworzeniu, a bez czego narody pogrążają się w zniszczeniu i ruinie.

Mamy przed sobą zasadniczy problem; od porozumienia wielkich mocarstw zależy rozwiązanie tego zagadnienia i pokój. To znaczy życie świata.

Nigdy nie byliśmy zwolennikami deifikacji władzy, nigdy nie mieszaliśmy prawa wynikającego ze sprawiedliwości z rozkazem wydanym przez władzę, ani też nie próbowaliśmy nigdy uważać przemocy za legalny przejaw sił politycznych. Przeciwnie, przez całe wieki szliśmy z misją głoszenia po świecie świętych zasad solidarności ludzkiej.

Na tym Półwyspie — tak obfitującym w wyższe umysły, które zdawały sobie sprawę, że granice geograficzne państw nie mogą być jednocześnie granicami ducha, — z dawnych czasów datuje się krucjata braterstwa nauki. Pochodzi z epoki już dalekiej, w której profesorowie portugalscy wykładali z katedr Salamanki, a profesorowie hiszpańscy nauczali w Coimbrze; w której poeci i pisarze wyrażali swe myśli równie swobodnie po portugalsku, jak i po hiszpańsku. Łatwo jest to stwierdzić wspominając galerię sławnych nazwisk hiszpańskich; przytaczam tu zaledwie 3 czy 4 z nich — poczynając od tego najbardziej czczonego ze wszystkich świętych portugalskich — San Antonio de Lisboa —, który uważał się za Hiszpana i kończąc na Papieżu portugalskim Janie XXI, sławnym jako Petrus Hispanicus, jak sam się nazwał, poprzez Lusitano, wybitną postać Odrodzenia, w dziedzinie medycyny, poprzez Luis de Granada, klasyka języków portugalskiego i hiszpańskiego, poprzez wielkiego duchem Luis de Molina, profesora teologii na uniwersytecie portugalskim w Evora, Francisco Suarez, wielkiego scholastyka Hiszpanii i jednego z twórców prawa międzynarodowego, którego wykłady były słuchane z takim zainteresowaniem przez długi czas w Kolegium Sztuk w Coimbrze. Także wiele jeszcze jest innych nazwisk uczonych i artystów, teologów, lekarzy i prawników, których wydał Półwysep od szesnastego wieku; ileż nazwisk należących do historii myśli ludzkiej! Ileż razy w ciągu ich długiej historii tak burzliwej i płomiennej bratają się i mieszają ze sobą tendencje literackie i naukowe Hiszpanów i Portugalczyków. Ileż nieśmiertelnych dzieł wydaje geniusz Półwyspu, znajdujących swój wyraz w języku hiszpańskim i portugalskim.

Wielki wpływ wywarła na Portugalię myśl hiszpańska, która tak była dla nas przychylna, ucząc nas i częstokroć opiewając naszych bohaterów i piękno naszej ziemi; byłoby aktem inteligentnego patriotyzmu, wykazać jak daleko sięga wzajemny wpływ cywilizacyjny obu narodów, przedstawiając udział każdego z nich, aby udowodnić bujną żywotność rasy iberyjskiej.

Odświeżmyż wielką tradycję wspólnoty duchowej Półwyspu. To uczucie kontynuacji, które stanowi więź duchową pokoleń, (choć wydawałoby się, że zostało zmiecione z powierzchni ziemi przez burzę, która zniszczyła cały świat), nie zaginęło jednak między nami.

Teraz w tej naszej Europie zubożałej w swych wartościach politycznych i o nadwyrężonym prestiżu, gdy tyle niebezpieczeństw zagraża autonomii jej życia duchowego; teraz gdy agonia świata powoduje, że nowe pokolenie żyje opuszczone jak gdyby na manowcach, młodzież potrzebuje nabycia wiedzy w ośrodkach takich jak ten, wiedzy ostrożności, równowagi, porządku, dyscypliny i wytrwałości w pracy, które to cechy wydają się na zawsze zapomniane.

Czyż mamy stracić nadzieję w powstanie "międzynarodówki duchowej", takiej, jaką znały n.p. wieki średnie? Prawdą jest, że obraz dzisiejszego świata — bieda, smutek, poświęcenie jednych, a nienawiść u drugich — zaciemnia do tego stopnia sumienie zbiorowe, że wydaje się nieuniknione zejście na drugi plan spraw jedynie intelektualnych. Niemniej pewnym jest, że w momentach kryzysu państwowego czy międzynarodowego nie ma atmosfery sprzyjającej pewnym formom życia duchowego. Trzeba walczyć. Czyż nie mówił nasz Calderon, iż tylko duch daje formę rzeczom i wartość życiu?

Tylko wiedza może przyczynić się do zmniejszenia cierpień ludzkich, wynagrodzić naszą wrodzoną słabość, podnieść poziom życia tak potwornie niski u większości ludzi, sprawić, aby człowiek mógł walczyć z siłami natury zamiast z ludzkością; wiedza jedynie będzie dostatecznie silna, by osiągnąć syntezę serca i rozumu w tym młodzieńcu, którym jeszcze jest dzisiejszy człowiek. Ona jedynie może zrealizować dzieło odbudowy moralnej, pokojowego zbliżenia i solidarności ludów, dzieło, które szlachetne umysły uważają dziś więcej niż kiedykolwiek za najwyższą konieczność.

Chcę zakończyć tak samo jak rozpocząłem, składając hołd Hiszpanii, jej ziemi, jej geniuszowi, charakterowi, sztuce, bohaterstwu i wreszcie głębokiej wierze. Hiszpanii, która otrzymała od Stwórcy trzy dusze, zlane w jedną całość: duszę żołnierza, duszę myśliciela i duszę wierzącego. I w ten sposób powstała ta materia wspaniałomyślna, chrześcijańska i bohaterska, na której naród hiszpański rył swe wspaniałe przeznaczenie.

CAERO DA MATTA

# CZAS OPANOWAĆ PRZYGNĘBIENIE

*Jedną z przyczyn, która wpłynąć musiała szczególnie ujemnie na nastroje rodaków naszych z 2 Korpusu, była ostra zima, na jaką natrafili po przyjeździe do Wielkiej Brytanii. Istotnie mieli pod tym względem wyjątkowego pecha, który ponoć prześladuje ich w zakresie pogody niezmiennie od chwili, kiedy lat temu siedem rozpoczęli na Bliskim Wschodzie swą pamiętną odyseję. Ostatni ich pobyt w "beczkach śmiechu", bądź zasypywanych przez zwały śniegu, bądź podmywanych przez nagłe, gwałtowne roztopy, pod ołowianym niebem i wśród ustawicznej przykrej wichury, z natury rzeczy zabarwiać musiał ich myśli jeszcze czarniej.*

*Możemy ich pocieszyć, że zima ta miała charakter naprawdę wyjątkowy i że klimat angielski, ogólnie biorąc, jest dużo lepszy od opinii, jakie na jego temat zwykło się słyszeć. Nadchodzi pora, która ukaże w promieniach słońca cały urok angielskiej* countryside (*tak Anglicy nazywają swą prowincję, tj. wszystko, co znajduje się poza obrębem dużych miast*) *z jej łagodnie sfalowanym krajobrazem i zielenią tak świeżą i intensywną, że fascynowała zawsze z nieodpartą siłą wszystkich przybyszów z Kontynentu* (*pisał o niej, w swych listach do matki, i Juliusz Słowacki, który bawił w Anglii z misją od Rządu Narodowego w r.* 1831).

*Owa angielska* country *z jej krajobrazem, wsiami i uroczymi często miasteczkami jest zresztą w równej mierze dziełem natury co ludzkich rąk i zapobiegliwości. Nie bez racji powiedziano o niej, że całe poczucie piękna Anglików skupiło się w jej kształtowaniu. Zmarły niedawno wybitny pisarz amerykański Hendrik van Loon w książce swej* The Arts of Mankind *porównywa krajobraz Anglii z krajobrazem Stanów Zjednoczonych i pisze:*

*"Anglik, kiedy tylko pozostawi za sobą swe wielkie miasta i ośrodki przemysłowe i znajdzie się w* country, *zanurza się w jeden ogromny park; czegoś podobnego nie zdolny byłem wykryć w żadnej innej części świata. Bóg mi świadkiem, że kocham wzgórza naszego Connecticut i nasze stare farmy, zbudowane przez rzemieślników tak rzetelnych . . . że dzieło ich rąk nie przestaje apelować do naszego poczucia proporcji i harmonii. Anglia jednak osiągnęła to, czego my tylko możemy mieć nadzieję dokonać w ciągu najbliższego tysiąclecia. Krajobraz angielski, by zapożyczyć od muzyków jedno z ich wyrażeń, został gruntownie "przekomponowany" . . . Każde kolejne pokolenie poddawało go rewizji".*

*Obok klimatu dużo się słyszy i mówi o angielskiej ksenofobii. Z pewnością przejawy jej w postaci znanych uchwał związków zawodowych czy artykułów prasowych nie należą do faktów dla Polaków przyjemnych. I tu jednak odróżniać trzeba akcję pewnych czynników politycznych, przeważnie komunistów i grup, pozostających pod ich wpływem, oraz stosunkowo nielicznych fanatyków antykatolickich — od ustosunkowania się ogółu społeczeństwa brytyjskiego do Polaków, tak jak przejawia się ono w codziennym życiu i kontaktach. Pod tym względem nie ulega wątpliwości, że doświadczenie żołnierzy 2 Korpusu, podczas dosyć już długich miesięcy ich pobytu w Anglii, jest w przeważającej mierze dodatnie. Ludność ze wszystkich warstw społecznych odnosi się do nich uprzejmie i życzliwie, przy czym, co jest zrozumiałe, wyróżnia tych, którzy sami zachowują się w podobny sposób. Należy przy tym podkreślić, że przeciętny Anglik czy Szkot szczególnie ceni zmysł porządku, sumienność, opanowanie* (*to, co określa się tu słowem* self-control), *postawę przyjazną i uczynną wobec otoczenia* (friendliness). *Są to cechy, które mają w tym kraju walor powszechny, niezależnie zupełnie od zagadnień politycznych czy społecznych.*

*Dodać należy, że nic bardziej nie zaszkodziłoby pozycji Polaków w W. Brytanii niż powstanie i utwierdzenie się opinii, że mają oni szczególną skłonność do operacji "czarnorynkowych" i różnych manipulacji tego typu. W tym zakresie obowiązywać musi w środowisku polskim szczególnie surowa i czujna dyscyplina zbiorowa.*

*Ogólnie zaś biorąc — niezależnie od smutnego położenia politycznego Polski, które gnębić nas musi wszędzie, w jakimkolwiek zakątku kuli ziemskiej się znajdziemy, — nie widzimy powodu, by rodacy nasi, czy to od dawna już tu się znajdujący, czy świeżo przybyli z Włoch, Bliskiego Wschodu albo Niemiec* (*Dywizja Pancerna*) *— popadać mieli w jakąś skrajną depresję duchową. Czas, by osowiałe i przybite twarze, których tyle niestety widuje się na ulicach Londynu oraz innych miast i miasteczek Anglii i Szkocji, ożywiły się znów upartą wolą przezwyciężenia trudności i czynnego wejścia w nowy — wierzymy mocno, że nie ostatni — etap naszego życia.*

**ZŁÓŻ OFIARĘ**

**PIENIĘŻNĄ**

**na**

**FUNDUSZ OŚWIATOWY**

**3 MAJA**

PIOTR PUSTOCHA

# MIĘDZYNARODOWA KONTROLA ENERGII ATOMOWEJ

W OSTATNICH miesiącach prasa światowa podawała wiadomości o toku narad nad kontrolą energii atomowej w Komisji Energii Atomowej O.N.Z., a potem w Radzie Bezpieczeństwa. Istnieje dość powszechne przekonanie, że jest to jedno z czołowych światowych zagadnień i że od jego rozwiązania zależy byt czy niebyt naszej cywilizacji. Wiemy o długich i bezskutecznych polemikach między delegatami poszczególnych krajów, wiemy o kruczkach proceduralnych i innych chwytach dyplomatycznych z tej czy innej strony.

Jednakże w tym nawale informacji tak łatwo zatracić sens istotny zagadnienia, że warto się na chwilę zatrzymać i zapytać: o co właściwie chodzi? Wydaje się, że najłatwiej odpowiedzieć na to pytanie sięgając wprost do źródeł, a więc do tekstów oficjalnych umów i projektów.

Przeto poniżej przedstawimy w skrócie historię powstania projektów międzynarodowej kontroli energii atomowej oraz streścimy i omówimy właściwe dokumenty.

## PROJEKTY KONTROLI MIĘDZYNARODOWEJ

W czerwcu 1946 roku przedstawione zostały Komisji Atomowej O.N.Z. dwa projekty międzynarodowej kontroli energii atomowej: projekt amerykański, zwany obecnie projektem Barucha od nazwiska delegata Stanów Zjednoczonych, oraz projekt sowiecki.

Projekt Barucha powstał w wyniku prac Komitetu Energii Atomowej, powołanej 17 stycznia 1946 r. przez sekretarza stanu Byrnesa. Komitet ten, będący pod przewodnictwem podsekretarza stanu Achesona, powołał z kolei Radę Ekspertów (*Board of Consultants*), której zadaniem było szczegółowe opracowanie projektu kontroli.

Pierwsze posiedzenie Rady odbyło się 23 stycznia 1946 r., w następnych siedmiu tygodniach jej członkowie poświęcili cały swój czas na szczegółowe studia zagadnienia. Zebrano potrzebne informacje w zakładach w Oak Ridge i Los Alamos przez dyskusje z naukowcami, przemysłowcami i technikami.

W rezultacie tych prac, uzgodnionych w studiach końcowych z Komitetem Energii Atomowej Sekretariatu Stanu, powstało sprawozdanie, powszechnie nazywane obecnie sprawozdaniem Lilienthala, od nazwiska przewodniczącego Rady.

Sprawozdanie to (*Lilienthal Report*) przesłane zostało w formie końcowej sekretarzowi stanu 17 marca 1946 r.

Główne wytyczne projektu są następujące:

Gdy mówimy o kontroli energii atomowej, myślimy przede wszystkim o zapobieżeniu użycia bomby atomowej w przyszłości. Jest to reakcja zarówno powszechna, jak uzasadniona i zrozumiała. Wszyscy tak myślą, więc zdawałoby się najprościej wyrazić ten ogólny pogląd w formie jakiejś umowy międzynarodowej, "stawiającej bombę poza nawias prawa" i wyrażającej solenną zgodę sygnatariuszy na nieużywanie jej w przyszłych wojnach.

Jest to początek logiczny i należy uważać za naturalne, że na nim są osnute procesy myślowe, wiodące do takiego czy innego projektu kontroli.

Jednakże przy nieco głębszym zastanowieniu się napotykamy na poważne przeszkody. Oto prace nad energią atomową dla celów pokojowych są tak zbliżone do prac nad energią atomową dla celów wojennych, że bardzo jest trudno, a nieraz jest wręcz niemożliwe przeprowadzić między nimi granice. Jeżeli więc poszczególne państwa będą pozostawione same sobie w uzyskiwaniu energii atomowej i jedyną rękojmią jej pokojowego użycia będzie dane słowo i dobra wola, trudno sobie wyobrazić, aby sąsiedzi nie żywili w tym względzie podejrzeń i nieufności — tym bardziej, że przy takim systemie przejście od produkcji pokojowej do wojennej byłoby łatwe i szybkie i istniałaby zawsze obawa nagłego zaskoczenia.

To też logicznym następstwem umowy międzynarodowej jest idea stworzenia systemu kontrolującego, który by miał na celu po pierwsze sprawdzić, czy państwa stosują się ściśle do przepisów umowy międzynarodowej, po drugie zmusić je do właściwego postępowania, gdyby zostały wykryte jakiekolwiek odstępstwa czy nieścisłości.

Rada Ekspertów oparła się w swoich dociekaniach na powyższych przesłankach i starała się znaleźć możliwie idealny projekt systemu kontrolnego. W ostatecznym wniosku stwierdzono jednak jednomyślnie, że żadna umowa międzynarodowa, poparta systemem kontroli o charakterze policyjnym czy półpolicyjnym, nie da rękojmi przeciwko użyciu energii atomowej w przyszłych wojnach. Powody tego są natury nie tylko czysto technicznej, lecz przede wszystkim politycznej, społecznej i organizacyjnej. Źródłem problemu jest rywalizacja między poszczególnymi narodami, którym by pozwolono prowadzić nieograniczone prace nad energią atomową wewnątrz ich granic narodowych. Na tę właśnie narodową rywalizację kładzie Rada Ekspertów główny nacisk i swój dalszy projekt opiera na pomyśle, w którym ta rywalizacja jest usunięta z samych podstaw zagadnienia.

Aczkolwiek uważano, że techniczna strona kontroli stanowi tylko jedną z jego części, poświęcono jej w sprawozdaniu sporo miejsca, uważając, że jest to konieczne do lepszego zrozumienia problemu.

Jeżeli nawet usunięte zostaną trudności polityczne inspekcji i jeżeli międzynarodowa organizacja kontrolna będzie w stanie dotrzeć do każdego zakątka i każdego zakładu przemysłowego w kraju, poddanym kontroli, to i to nie rozwiąże sprawy, gdyż komisja kontrolująca po prostu nie będzie miała kwalifikacji na wykonanie swego zadania. Należy wziąć pod uwagę, że kontrola musi być bardzo rozległa we wszystkich stadiach, od wydobywania rud w kopalniach do ostatecznego zużycia materiałów fisyjnych*) w zakładach przemysłowych.

Aby skontrolować czyjąś działalność i ocenić, czy nie wykracza ona poza delikatnie sprecyzowane granice, należy tę działalność znać i rozumieć bardzo dokładnie. A więc trzeba tak zorganizować komisję kontrolującą, aby jej członkowie byli co najmniej równie dobrymi specjalistami od energii atomowej co i prowadzący laboratoria i zakłady przemysłowe w państwach podległych kontroli. A to jest niemożliwe do osiągnięcia z wielu powodów.

Nie będąc organizacją naukową twórczą komisja kontrolująca mogłaby utrzymać poziom swojej wiedzy technicznej jedynie przez czerpanie wiadomości z tych właśnie źródeł, których kontrolowanie ma ona na celu. Pomijając już fakt, że przy takim układzie rzeczy łatwo jest ukryć wiadomości istotne dla kontroli, komisja kontrolna wszystkie informacje dostawałaby z opóźnieniem, a więc byłaby zawsze w tyle za innymi pod względem wiedzy naukowej i technicznej. Kontrolowanie pracy innych nie jest zajęciem atrakcyjnym dla umysłów twórczych wybitniejszych jednostek. To też trudno się spodziewać, aby taka półpolicyjna organizacja potrafiła zdobyć wartościowych pracowników.

W rezultacie w swoim projekcie Rada Ekspertów wyszła z założenia, że najlepszym i zarazem jedynym sposobem zapewnienia kontroli jest stworzenie organizacji międzynarodowej, która by miała monopol planowania, wykorzystania i dalszego rozwoju energii atomowej. Takie rozwiązanie czyniłoby automatycznie wszelką kontrolę zbędną, albowiem państwa, mające swych przedstawicieli w nowej organizacji, miałyby automatycznie wgląd we wszystkie sprawy związane z problemem.

Organizacja ta, będąca przede wszystkim organizacją twórczą, ściągnęłaby i zatrudniła z łatwością wszystkich najlepszych ekspertów, którzy by sami planowali i decydowali o użyciu energii atomowej w skali światowej.

Swojej projektowanej organizacji Rada Ekspertów nadała nazwę *Atomic Development Authority*, w wolnym przekładzie: Zarząd Przedsiębiorstw Atomowych.

Opracowano wytyczne organizacji zarządu, jego kompetencje i prerogatywy. Te wytyczne zostały prawie dosłownie powtórzone w projekcie Barucha, który jest już wyrazem oficjalnego punktu widzenia Stanów Zjednoczonych. Omówimy więc go poniżej nieco bardziej szczegółowo.

## PROJEKT BARUCHA

Opierając się na uchwałach Zgromadzenia O.N.Z. oraz na deklaracji prezydenta Stanów Zjednoczonych i premierów Wielkiej Brytanii i Kanady, przedstawiciel amerykański w Komisji Atomowej O.N.Z. wysunął projekt utworzenia międzynarodowego Zarządu Przedsiębiorstw Atomowych, któremu powierzono by wszystkie fazy rozwoju i zastosowania energii atomowej, poczynając od surowców, i którego zadania obejmowałyby:

1) Administracyjny zarząd lub prawo prowadzenia wszystkich prac, mogących zagrażać bezpieczeństwu świata;
2) Władzę zarządzania, kontrolowania i licencjonowania wszystkich innych prac, związanych z energią atomową;
3) Obowiązek popierania pożytecznego użycia energii atomowej;
4) Badania o charakterze pozytywnym, które by miały na celu utrzymanie Zarządu na czele wiedzy atomowej i w ten sposób umożliwiłyby mu zrozumienie, a tym samym wykrywanie, niewłaściwego użycia energii atomowej. Aby być sprawnym, Zarząd musi przodować w postępie wiedzy atomowej, wzmacniając w ten sposób moralnie swój autorytet prawny.

Dopiero po ustanowieniu takiej organizacji i przekonaniu się o jej skutecznym funkcjonowaniu, Stany Zjednoczone gotowe będą zaprzestać produkcji bomb atomowych, przekazać istniejący zapas do dyspozycji Zarządu, oraz przelać tam całą posiadaną wiedzę.

Zarząd ma mieć pełny monopol na wszystkie

---

*) Materiałem fisyjnym nazywamy taki pierwiastek chemiczny, którego atomy ulegają fisji — rozpadowi na dwa lżejsze odłamki przy jednoczesnym wydzieleniu ogromnych ilości energii. Znamy jak dotychczas dwa pierwiastki, ulegające fisji, uran i pluton. Ostatnio zdołano zastosować również tor zamieniwszy go na lekką odmianę (izotop) uranu.

prace nad energią atomową i wobec tego proponuje się, aby opracowane zostały przyjęte możliwie surowe i skuteczne sankcje przeciwko narodom, które wykraczają w swej działalności przeciw prawu monopolu.

W szczególności wykroczenia karalne przez prawo Narodów Zjednoczonych obejmowałyby :

1) Nielegalne posiadanie lub użycie bomb atomowych;
2) Nielegalne posiadanie lub uzyskiwanie materiału odpowiedniego dla użycia w bombie atomowej;
3) Przywłaszczenie fabryki lub innej własności należącej do Zarządu, lub będącej pod jego licencją;
4) Rozmyślne szkodzenie działalności Zarządu;
5) Stwarzanie lub użytkowanie "niebezpiecznych" projektów bez posiadania licencji od międzynarodowej władzy kontrolnej lub też w sposób sprzeczny z warunkami licencji posiadanej.

W opinii delegata Stanów Zjednoczonych system sankcji i metody ich zastosowania powinny być proste i działające bez zwłoki. Wszelkie odwoływania się do konferencji międzynarodowych zwłaszcza tam, gdzie pięć państw rozporządza prawem "veta", którym zawsze mogą osłonić popełniającego bezprawie, jest z góry skazane na niepowodzenie. Na żadną zwłokę pozwolić nie można, prawo veta, w tym przynajmniej wypadku, musi być obalone i Zarząd musi posiadać dostateczną władzę, aby działać samodzielnie i bezpośrednio.

Plan amerykański zakreśla w zarysach obowiązki i prerogatywy Zarządu jako organizacji kontrolnej według poniższych punktów :

*Ogólne*

Zarząd ma opracować szczegółowy plan kontroli atomowej przez posiadanie, licencję, operację, inspekcję i badania, dokonywane przez wykwalifikowany personel. Działania Zarządu nie powinny w żaden sposób przeszkadzać w normalnym funkcjonowaniu aparatów państwowych i prywatnych w innych dziedzinach.

*Surowce*

Zarząd ma zebrać dokładne informacje na temat pokładów rud uranowych na świecie i przejąć w posiadanie wszystkie tereny kopalniane. Powinny być przeprowadzane stałe poszukiwania nowych złóż.

*Plany podstawowej produkcji*

Zarząd powinien dozorować wszystkie zakłady produkujące materiał fisyjny.

*Atomowe materiały wybuchowe*

Zarząd powinien pracować nad badaniami właściwości atomowych materiałów wybuchowych, aby zawsze być na czele wiedzy w tej dziedzinie, być najlepiej poinformowaną organizacją i przez to mieć możność właściwie oceniać granicę między bezpieczną i niebezpieczną działalnością organizacji podrzędnych.

*Strategiczne rozproszenie prac i materiałów*

Prace polecone Zarządowi ze względu na ich "niebezpieczny" charakter, jak również składy materiału fisyjnego, muszą być równomiernie rozłożone na świecie w różnych krajach.

*Czynności "bezpieczne"*

Zadaniem Zarządu jest rozprzestrzenianie wiedzy i popieranie użycia energii atomowej dla celów pokojowych poprzez udzielanie licencji na prace we wszystkich gałęziach nauki i techniki, związanych z energią atomową, a uznanych przez Zarząd za niegroźne dla pokoju powszechnego.

*Definicja bezpiecznych i niebezpiecznych czynności*

Zarząd ma określać granice pomiędzy powyższymi czynnościami i w miarę potrzeby przeprowadzać w tym względzie zmiany i poprawki.

*Czynności niebezpieczne*

Każda fabryka, pracująca nad uranem czy torem w stanie oczyszczonym, ma być uważana za "niebezpieczną" i wobec tego ma być poddana najściślejszej kontroli Zarządu.

*Inspekcja*

Zagadnienie inspekcji będzie znacznie uproszczone dzięki monopolistycznym przywilejom Zarządu. Każda działalność organów podrzędnych, nie mieszcząca się w granicach licencji, będzie automatycznie uważana za wykroczenie.

*Wolność dostępu*

Przedstawicielom Zarządu ma być zapewniona wolność dostępu do każdej miejscowości i każdego zakładu przemysłowego na kuli ziemskiej. Kontrola i poszukiwanie źródeł surowców, będące wyłącznym prawem Zarządu, stanowią klucz problemu i w znacznej mierze rozwiążą zagadnienie inspekcji. Inspekcja będzie też przeprowadzana automatycznie przy współpracy Zarządu w czynnościach licencjonowanych.

*Ujawnienie informacji*

Stany Zjednoczone gotowe są ujawnić tyle wiadomości związanych z energią atomową natychmiast, ile to jest potrzebne członkom Komisji Atomowej do zrozumienia problemu. W miarę wejścia w życie projektu i powstania Zarządu coraz więcej informacji będzie przekazywanych jego organom tak, aby mogły one rozporządzać dostateczną ilością wiadomości w każdym stadium swego rozwoju. W fazie końcowej wszystkie czynności i prace zostaną przekazane Zarządowi.

*Kontrola międzynarodowa*

Wszystkie organizacje narodowe poszczególnych państw pracujące nad energią atomową siłą rzeczy muszą być podległe Zarządowi. Pozostawia się Komisji Atomowej opracowanie szczegółów zależności i wzajemnego stosunku między organami państwowymi (narodowymi) a międzynarodowym Zarządem.

Jak widzimy, projekt powyżej streszczony odpowiada w zupełności postulatom Rady Ekspertów, dotyczącym usunięcia rywalizacji narodowej. Wydaje się więc, że gdyby on został przyjęty i przeprowadzony, zapewniłby nietylko bezpieczeństwo, ale też najskuteczniejszy i najszybszy rozwój badań nad energią atomową i jej zastosowaniem dla celów pokojowych. Znaczna większość członków Komisji Atomowej O.N.Z. przyjęła projekt przychylnie. Jedynym kontrprojektem złożonym po amerykańskim był projekt sowiecki.

## PROJEKT SOWIECKI

Złożony na posiedzeniu Komisji Energii Atomowej O.N.Z. dnia 19 czerwca 1946 r. projekt sowiecki składa się z dwóch części. Pierwsza z nich dotyczy umowy międzynarodowej, zabraniającej produkcji broni, opartej na zasadzie użycia energii atomowej dla celów masowego zniszczenia. Druga część obejmuje szczegółowy program prac Komisji Energii Atomowej.

Część pierwsza jest wynikiem pracy zbiorowej szeregu państw. Niestety oficjalne stenogramy Komisji Atomowej nie dają listy sygnatariuszy,— należy przypuszczać, że są to narody "bloku wschodniego".

Tekst projektu zaopatrzony jest obszernym wstępem, w którym mówi się ogólnie o zrozumieniu powszechnym dla ważności zagadnienia oraz o potrzebie międzynarodowej zgody na nieużywanie broni atomowej w przyszłej wojnie (tak jak gazy trujące nie były użyte, dzięki dotrzymaniu umowy międzynarodowej, w wojnie ostatniej).

Sygnatariusze projektu, doszedłszy do porozumienia między sobą, proponują jednomyślnie, aby O.N.Z. przyjęła ich rezolucję jako podstawę do przyszłej umowy międzynarodowej.

Projekt rezolucji zawiera osiem artykułów. Podajemy pierwszy z nich jako najbardziej istotny w dosłownym tłumaczeniu, pozostałe siedem — w streszczeniu.

*Art.* 1. "Wysocy sygnatariusze oświadczają solennie, że są jednomyślnie zdecydowani zabronić produkcji i zastosowania broni opartej na użyciu energii atomowej i że w tym celu czynią następujące zobowiązania :

a) nie używać broni atomowej w żadnych okolicznościach ;
b) zabronić produkcji i przechowywania broni opartej na użyciu energii atomowej ;
c) zniszczyć w ciągu trzech miesięcy od dnia wejścia w życie niniejszej umowy wszystkie zapasy broni atomowej będące bądź w wykończonym stanie, bądź w stanie produkcji".

*Art.* 2. Wykroczenie przeciwko artykułowi 1 uważane jest za najpoważniejszą zbrodnię wobec ludzkości.

*Art.* 3. przewiduje uchwalenie prawa, stanowiącego podstawę karania przestępców w stosunku do niniejszej umowy.

*Art.* 4. czyni umowę ważną na czas nieograniczony.

*Art.* 5. przewiduje przystąpienie do umowy każdego państwa, które by tego sobie życzyło.

*Art.* 6. omawia prawną procedurę wejścia umowy w życie.

*Art.* 7. stwierdza, że umowa będzie obowiązująca dla wszystkich państw, bez względu na to, czy są one członkami O.N.Z.

*Art.* 8. mówi o sposobie przechowania autentycznych tekstów umowy przez Generalnego Sekretarza O.N.Z.

Druga część projektu sowieckiego poświęcona jest Komisji Energii Atomowej.

W myśl rezolucji zgromadzenia O.N.Z., która podkreśla pilność stworzenia komisji, poświęconej całkowicie pracom nad energią atomową, delegat sowiecki proponuje utworzenia dwóch komitetów w łonie Komisji, które by pracę tej ostatniej usprawniły.

"*Komitet dla Wymiany Informacji Naukowych*" miałby za zadanie opracowanie wniosku, dotyczącego praktycznych miar dla zorganizowania wymiany informacji dotyczących :

1) odkryć naukowych w związku z energią atomową;
2) techniki uzyskiwania i użycia energii atomowej;
3) organizacji i metod produkcji przemysłowej oraz użytkowania energii atomowej;
4) form, źródeł i położenia surowców, koniecznych dla użycia energii atomowej;

Zadaniem *Komitetu dla Zapobieżenia Użycia Energii Atomowej na Szkodę Ludzkości* byłoby opracowanie i przedłożenie wniosku, dotyczącego :

1) ułożenia umowy międzynarodowej, zabraniającej produkowania i użycia broni atomowej i innych podobnych broni;
2) środków, jakie miałyby być użyte dla zapewnienia wykonania powyższej umowy;
3) środków systemu i organizacji kontroli nad użyciem energii atomowej;
4) opracowania systemu sankcji, mających być zastosowanymi w wypadku niewłaściwego użycia energii atomowej.

W skład powyższych komitetów mają wchodzić przedstawiciele wszystkich narodów, będących członkami Komisji Atomowej O.N.Z.

Na zakończenie delegat sowiecki podkreślił, że w opinii jego rządu najważniejszą częścią projektu jest natychmiastowe podpisanie proponowanej umowy, zabraniającej użycia energii

atomowej "na szkodę ludzkości", umowy, która by miała "ogromne znaczenie moralne i polityczne i przyczyniłaby się do wzmocnienia stabilizacji politycznej na świecie i przyjacielskich stosunków między narodami", nakazując m.i. natychmiastowe zniszczenie istniejących zapasów bomb.

Propozycja zniszczenia bomb przed przystąpieniem do opracowania systemu kontroli wymierzona jest przede wszystkim w projekt amerykański, który właśnie takiemu załatwieniu sprawy zdecydowanie się sprzeciwia. Myśl przewodnia jest chyba oczywista.

Ameryka jest jedynym krajem, który ma bombę. Jeżeli Rosja jej nie ma, zniszczenie zapasów amerykańskich postawiłoby ją na równej stopie ze Stanami Zjednoczonymi. Jeżeli Rosja bombę posiada, o czym świat oficjalnie nic nie wie, dałoby to jej natychmiast ogromną w rozgrywkach dyplomatycznych przewagę, tym silniejszą, że ukrytą.

Najciekawsze jest jednak to, że propozycja zniszczenia bomb w zasadzie i w ogóle nie ma sensu. Bomba atomowa składa się z mechanizmów, które nazwiemy tu dla krótkości wtórnymi, to jest skorupy i mechanizmów powodujących wybuch, oraz z ładunku materiału fisyjnego. Ten ostatni jest istotną częścią składową bomby.

Co miał na myśli delegat sowiecki proponując zniszczenie bomb?

Jeżeli chodziło mu o zniszczenie mechanizmów wtórnych, byłoby to zbyt naiwne, bo przeładowanie wybuchowego materiału fisyjnego do nowych skorup z potrzebnymi dodatkowymi urządzeniami nie nastręczałoby większej trudności.

Chodzi więc zapewne o zniszczenie bomb jako całości łącznie z materiałem fisyjnym, którym bomby są naładowane, a więc łącznie z zapasami oczyszczonego uranu 235 lub plutonu. Materiał ten stanowi jednak źródło energii atomowej, która może być użyta do celów pokojowych i od której delegat sowiecki spodziewa się tylu dobrodziejstw dla ludzkości. Jak dotychczas jest to jedyne dostępne dla nas źrodło energii atomowej dla takich czy innych celów.

Punkt c) artykułu 1 projektu nie pozostawia wątpliwości, że delegat sowiecki właśnie takie rozwiązanie miał na myśli. Bomby mają być zniszczone nie tylko w stanie gotowym, ale również w stanie produkcji, a więc trzymając się ściśle powyższego przepisu należałoby zniszczyć zapasy materiału fisyjnego w każdym procesie jego oczyszczania. Właściwie mówiąc należałoby w ogóle zaprzestać produkcji jakichkolwiek materiałów, nadających się do uzyskiwania z nich energii atomowej.

Nie potrafimy powiedzieć, w drodze jakich procesów myślowych czynniki sowieckie doszły do swojej propozycji. Odnosi się wrażenie, że albo projekt był pisany bez udziału osób rozumiejących techniczną stronę zagadnienia, albo też napisano go w tej formie świadomie, lekceważąc poczucie zdrowego sensu u pozostałych członków Komisji.

Część druga projektu, dotycząca organizacji pracy Komisji Atomowej, jest bardziej logiczna i słusznie niektórzy delegaci dopatrzyli się w niej "wielu cech wspólnych" z projektem amerykańskim.. Jednakże właśnie tu leży ich słaba strona. Podczas bowiem gdy projekt amerykański daje konkretne propozycje i wskazuje konkretne drogi, projekt sowiecki dopiero proponuje utworzenie komitetów, które by opracowały propozycje projektów rozwiązania tych właśnie zagadnień, które delegat amerykański przedstawił w formie sprecyzowanej. Można przypuszczać, że przez odsyłanie problemu do coraz niższych instancji delegat sowiecki pragnie rozstrzygnięcie sprawy po prostu odwlec.

Podczas ostatecznego głosowania w Komisji Atomowej projekt amerykański przyjęty został większością głosów 10 przeciw 2. Następnym stadium jest Rada Bezpieczeństwa O.N.Z., w której operuje prawo "veta", przysługujące narodom "wielkiej piątki". Szanse przeprowadzenia projektu przez tę instancję były więc z góry przesądzone negatywnie. Ostatnie oświadczenie delegata sowieckiego Gromyki, sprzeciwiające się w zasadzie wglądowi jakiejkolwiek organizacji międzynarodowej w wewnętrzne sprawy Z.S.R.R., zdaje się nie pozostawiać wątpliwości, że i w przyszłości sprawa pozostanie nierozstrzygnięta.*)

PIOTR PUSTOCHA

*) Według wiadomości, nadeszłych już po napisaniu niniejszego artykułu, delegat sowiecki zmienił znów taktykę i jakoby zgodził się na międzynarodową kontrolę energii atomowej. Mimo to trudno sobie wyobrazić, by w praktyce Sowiety dopuściły do inspekcji swego terytorium przez czynniki np. amerykańskie.

ALEKSANDRA POLESKA

# SZEKSPIR W KRĘGU RODZINNYM

WILIAM SZEKSPIR, największy pisarz dramatyczny wszystkich czasów, przyszedł na świat w Stratfordzie nad Avonem, prowincjonalnym miasteczku hrabstwa Warwickshire. Ojciec jego, John Szekspir, pochodził widocznie z innych stron, gdyż nazwiska tego nie spotyka się w księgach miejskich aż do roku 1552, kiedy to zarząd miasta nałożył na niego karę w sumie 1 szylinga za "posiadanie przed domem na Henley Street kupy nawozu wbrew przepisom". Stary Szekspir był rękawicznikiem z zawodu, ale zajmował się także wyprawianiem skór i drobnym handlem. Wykształcenia nie posiadał chyba żadnego i nawet pisać nie umiał, gdyż zamiast podpisu stawiał zwykle krzyżyk lub godło rękawiczników. Stąd nie wiadomo dokładnie, jak powinno się pisać jego nazwisko; *Shakespeare* czy też *Shaksper*, bo istniejące dokumenty nie są z sobą co do tego w zgodzie. Matka poety, Mary Arden, pochodziła ze starej rodziny ziemiańskiej zasiedziałej w okolicy i wychodząc za bogatego obywatela Stratfordu popełniła pewnego rodzaju mezalians. W chwili małżeństwa John był już właścicielem paru domów i nie jest rzeczą pewną, który z nich był miejscem narodzin poety; tradycja wskazuje na dom na Henley Street, jako miejsce urodzenia. Znajduje się tam dzisiaj małe muzeum Szekspira, które obejmuje między innymi kolekcję jego portretów, różne wydania jego dzieł i wiele dokumentów rodzinnych, ale całość nie robi większego wrażenia, gdyż zbyt dokładnie widać (podobnie jak w domu Szyllera w Wejmarze), iż pewne efekty zostały na zimno wyreżyserowane, aby przyciągnąć jak największą ilość ludzi. Dzisiaj bowiem całe miasto żyje z tego, że turyści z różnych stron świata przyjeżdżają, aby odetchnąć atmosferą *Merry England* i pochodzić po ścieżkach wydeptanych przez twórcę "Snu Nocy Letniej".

W parafialnym kościele Stratfordu zobaczyć można w zapiskach kościelnych pod datą 26 kwietnia 1564 roku następującą notatkę: *Gulielmus filius Johannis Shakespeare*. Rodzice poety mieli ze sobą ośmioro dzieci; Wiliam był trzecim z kolei.

Po przyjściu na świat Wiliama ojciec jego bogacił się nadal i to zapewne zdecydowało o karierze obywatelskiej Johna Szekspira. Został on najpierw radnym miejskim, a później burmistrzem miasta. W następnych latach jednak szczęście odwróciło się od niego i zjawiły się kłopoty finansowe, następnie przewlekłe sprawy sądowe, a wreszcie utrata godności miejskich. Nie ma pewnych danych jaka była przyczyna tego gwałtownego upadku, ale istnieją pewne poszlaki, że ojciec poety był katolikiem, który uparcie nie chciał przyjąć nowej religii i stąd wszystkie jego niepowodzenia.

O młodości samego poety nie wiele zachowało się wiadomości. Wiliam miał lat pięć, gdy ojciec jego został głową miasta. Wraz z braćmi swymi chodził do szkoły powszechnej, gdzie mieli prawo do bezpłatnej nauki na koszt miasta. Drewniany pulpit, o którym tradycja głosi, iż służył mu do pisania, można do dziś oglądać w domu na Henley Street. W szkole stratfordzkiej Wiliam zaznajomił się z łaciną, ale greki, zdaje się, nigdy go nie uczono, to też w stosunku do innych pisarzy tego okresu, np. Bena Johnsona, wykształcenie klasyczne Szekspira było bardzo mizerne. Edukacja jego wogóle nie trwała długo, bo kiedy zaszły trudności materialne ojciec odebrał go ze szkoły i oddał na praktykę do rzeźnika. Według wersji, która zachowała się w jego rodzinnym mieście, poeta uciekł stamtąd i kilka następnych lat jego życia okrywa gęsta tajemnica.

Później słyszymy o Szekspirze dopiero w roku 1582 z okazji jego małżeństwa z Anną Hathaway, kobietą o siedem lat starszą od niego. Poeta miał wtedy zaledwie lat 19, ale były powody, aby przyśpieszyć związek; najstarsza córka jego, Zuzanna, przyszła na świat już w trzy miesiące po ślubie.

*Cottage* Anny Hathaway, miejsce gdzie rozegrał się romans Szekspira, leży prawie dwie mile poza miastem. Aż do końca 19 wieku znajdował się on w rękach jej rodziny i urządzenie wewnętrzne zachowało się prawie nietknięte. Był to obszerny jak na owe czasy domek, cały obrosły dzikim winem i jakimiś nieznanymi pnączami i okolony prześlicznym ogrodem kwiatowym, który dalej przechodzi w obszerny sad zarosły starymi jabłoniami. Okna ma maleńkie, prawie całkowicie zarosłe zielenią i zrobione z szybek oprawnych w ołów. Niedaleko od domku rzeka Avon przewija się lśniącymi skrętami wśród pól i żywopłotów. Jest to miejsce szczególnie urocze, owiane młodzieńczym romantyzmem, a widziane w noc księżycową do złudzenia przypomina dekoracje do sceny balkonowej z "Romea i Julii".

W trzy lata po ślubie Szekspirowi urodziły się dwojaczki, syn Hamnet i córka Judyta. Hamnet, który był jego jedynym synem, umarł jednak w niedługi czas potem. Mniej więcej w tym samym czasie Szekspir wdał się w zatarg z sirem Thomasem Lucy, który oskarżył go o kradzież zwierzyny ze swego parku. W odpowiedzi na oskarżenie Szekspir napisał złośliwą balladę na sira Lucy i został podobno za to uwięziony i wychłostany przez tego magnata. Cały ten incydent został później przez poetę zużytkowany w epizodzie "Wesołych Kumoszek z Windsoru". Jako rezultat zatargu z Lucym Szekspir zmuszony był opuścić swe miasto rodzinne i wtedy po raz pierwszy udał się do Londynu.

W ten sposób ta nieprzyjemna afera kłusownicza pomogła poecie wydostać się na szersze wody i gdyby nie ona Szekspir prawdopodobnie pozostałby do końca życia w Stratfordzie jako nauczyciel szkoły powszechnej, którym wedle świadectwa współczesnych był przez jakiś czas istotnie.

Tak więc rok 1587 zastaje Szekspira w charakterze początkującego aktora w jednej z trup teatralnych. Karierę swą rozpoczął poeta jako stajenny przy koniach bogatych widzów, którzy przyjeżdżali do teatru konno lub karetami; później zaczął dostawać mniejsze role. W jakiś czas potem zaczął pisać. Zapotrzebowanie na nowe sztuki było w tym czasie duże; królowa Elżbieta lubiła każdą uroczystość uświetniać przedstawieniami, a okazji do uroczystości nie brakło.

Talent odtwórczy Szekspira nie musiał być bardzo wielki; nigdy bowiem nie słyszało się o nim w żadnej wybitniejszej roli. W swoich własnych sztukach grywał podobno Mercutia w *Romeo i Julii*, szczytowym zaś jego osiągnięciem w karierze aktorskiej była rola ducha w *Hamlecie*.

Jeżeli chodzi o chronologię sztuk Szekspira, to nie jest ona w każdym poszczególnym wypadku zupełnie pewna. Około roku 1592 powstał *Henryk VI*, a następnie *Ryszard III*, *Tytus Andronikus* i *Komedia Pomyłek*. W tym samym mniej więcej okresie poeta znalazł możnego protektora w osobie Earla of Southampton, który — jak to było wtedy w zwyczaju — pomagał mu finansowo. Jemu też zostały zadedykowane dwa poematy *Wenus i Adonis* i *Lukrecja*. W późniejszej karierze pisarskiej Szekspir doczekał się uznania i poparcia samej królowej. Dzięki swoim stosunkom na dworze królewskim udało mu się uzyskać przyznanie herbu dla ojca, który byłby go uzyskał wcześniej, gdyby nie nagłe niepowodzenia materialne. Herb ów przedstawiał sokoła trzymającego w szponach tarczę, na której wymalowana jest włócznia (*spear*), i zdobi on dziś pomnik poety w jego rodzinnym mieście.

Szybki sukces Szekspira jako dramaturga wypalił wszystkie jego tęsknoty do innych rodzajów literackich. Jedynym wyjątkiem pozostają sonety, które ukazują osobowość autora od strony bardziej osobistej, są wyrazem jego żalów, tęsknot i nadziei. Sonety te przez długi czas nie były ogłoszone drukiem, cyrkulowały tylko luźno między przyjaciółmi poety w rękopisie i pewna atmosfera tajemniczości, jaka się przez to wokół nich rozsnuła, była później powodem wielkiej kontrowersji między uczonymi. Niektórzy nawet przypuszczają, że człowiek zwany Szekspirem nigdy nic nie napisał, a zgadzał się tylko na użyczanie swego nazwiska jako firmy dla dzieł Franciszka Bacona, wielkiego filozofa i polityka, któremu pozycja męża stanu nie pozwalała na ogłaszanie utworów dramatycznych pod prawdziwym nazwiskiem. Na poparcie swej tezy uczeni ci operują dwoma argumentami. Według nich Szekspir, jako człowiek niskiego pochodzenia i nie posiadający odpowiedniego wykształcenia, nie mógł stworzyć rzeczy pełnych tak zdumiewającej wiedzy o człowieku. Jako drugi argument podaje się fakt pewnej zbieżności w formowaniu myśli, używaniu porównań i metafor, jaka niewątpliwie istnieje, jeżeli porównamy pisma Bacona i utwory Szekspira. O ile pierwszy argument pozbawiony jest w ogóle jakiegokolwiek ciężaru gatunkowego, o tyle drugi rozproszyć można wyjaśnieniem, że pewne podobieństwo sformułowań pochodzi po prostu stąd, iż obaj pisarze korzystali często z tej samej lektury, tj. Biblii i utworów rzymskich autorów.

Jako dowód na to, iż to nie Szekspir był autorem sztuk wydawanych pod jego nazwiskiem, cytowano także fakt, że za jego życia wydawcy umieszczali w zbiorach jego dzieł także sztuki całkowicie bezwartościowe o niewiadomym pochodzeniu, a poeta nie ośmielał się protestować, wiedząc, że żadna z jego sztuk nie jest naprawdę przez niego samego napisana. Fakt ten jednak tłumaczy się po prostu tym, iż wtedy nie istniały prawa autorskie i wydawcy zachowywali się jak korsarze, a autorzy byli wobec nich zupełnie bezsilni. Wogóle tylko połowa sztuk Szekspira wydana została za życia poety i to bez jego poprawek i nadzoru.

Najsilniejszy jednak argument za tym, iż to naprawdę Szekspir był autorem swych sztuk, leży w dziedzinie psychologicznej. Z tego co wiemy o Baconie był to człowiek typu Woltera, o zimnym intelekcie i zażarty wróg katolicyzmu. Brzydka zaś i dwuznaczna rola, jaką odegrał przy upadku hrabiego Essexa, pokazuje nam Bacona jako człowieka pozbawionego skrupułów moralnych i współczucia dla bliźnich. Nie można sobie żadną miarą wyobrazić, aby człowiek o takim charakterze zdolny był do napisania utworów tak bujnych, żywiołowych i przesyconych atmosferą katolicką jak sztuki Szekspira. Jeżeli zaś chodzi o dowody rzeczowe to przytoczyć tu można notatkę z kronik miasta Stratfordu, że w roku 1579 niejaka Katarzyna Hamlet wpadła do rzeki Avon i utonęła. Nikt dziś wprawdzie nie może stwierdzić na pewno, czy Szekspir znał ten smutny wypadek, ale faktem jest, iż ten właśnie rodzaj impulsu zewnętrznego wyzwala często u pisarzy gotowy pomysł i że właśnie mogła się pojawić w umyśle poety osnowa *Hamleta* wraz z tragicznym motywem Ofelii.

W roku 1603 Szekspir zaawansował na stanowisko jednego z dyrektorów teatralnej trupy królewskiej (*The King's Players*) króla Jakuba I, który wstąpił na tron po śmierci Elżbiety. Dochody, jakie mu dawało to stanowisko, wraz z udziałami, jakie z biegiem czasu posiadł w dwóch teatrach: *Globe* i *Blackfriars*, wystarczyły zupełnie na to, aby zapewnić dobrobyt jego rodzinie. Szekspir zakupił sobie dom w Stratfordzie, t.zw. *New Place*, a drugi w Londynie i w ten spsób osiągnął szczyt marzeń każdego ambitnego człowieka tej epoki, to jest posiadanie dwóch stałych rezydencji: jednej na wsi a drugiej w stolicy.

Szekspir tak samo był persona grata na dworze króla Jakuba I jak poprzednio na dworze królowej. Żądano od niego wciąż nowych sztuk. Około 1601 roku powstał *Hamlet*, *Troilus i Kresyda*, a około 1605 *Król Lir*. W tym okresie poeta tak był zmęczony pracą, iż zapadł na rodzaj gorączki nerwowej, a może po prostu choroba jego była wynikiem szalejącej dokoła epidemii. W każdym razie w tym czasie nastąpił niewątpliwie przełom w jego życiu wewnętrznym, a fakt ten ujawnił się w porzuceniu przez niego tragedii i zastąpieniu jej rodzajem fantastycznego dramatu. Było to wynikiem pewnego procesu psychicznego, który zakończył się ostatecznym przyjęciem przez Szekspira religii chrześcijańskiej jako systemu filozoficznego, a wiadomo że tragedia (który to gatunek literacki wyrasta z negatywnej postawy wobec wszechświata) nie zawsze mieści się w chrześcijańskim światopoglądzie. Tutaj docieramy do bardzo ciekawego punktu. Według świadectwa Ryszarda Daviesa, wiarogodnego duchownego protestanckiego z Gloucestershire, który żył w końcu 17 wieku, "Szekspir umarł jako papista". To twierdzenie było później gwałtownie zwalczane, przy czym szermowano faktem, iż poeta został przecież pochowany w protestanckim kościele parafialnym, co jednak nie było niczym dziwnym, jeśli weźmiemy pod uwagę, że Szekspir był już w owym czasie uznaną sławą i wobec tego chciano go uczcić przez pochowanie w najbardziej szanowanym miejscu.

Ostatnie lata życia spędził poeta w swoim rodzinnym mieście. Powrócił do żony (której przedtem nie był zbyt wierny) i rodziny oraz do kręgu przyjaciół, aby żyć "w wygodzie i odosobnieniu" według świadectwa współczesnych. Do Londynu przyjeżdżał jednak często, aby załatwiać interesa i wpaść choćby na chwilę do "Mermaid Tavern", która, założona ponoć przez słynnego podróżnika i pisarza sira Waltera Raleigh, była miejscem spotkań ówczesnych pisarzy i artystów. W Londynie był również w tym czasie aktorem brat poety Edmund Szekspir. Aż do roku 1613 Wiliam pisał stale sztuki dla trupy królewskiej. Tylko przez ostatnie trzy lata swego życia nie wziął więcej pióra do ręki. Istnieją dowody, iż w ostatnim okresie życia utracił pamięć.

W Stratfordzie Szekspir nie zajmował się sprawami publicznymi. Uprawiał natomiast ogród i sadził w nim drzewa morwowe. Ze swoją rodziną miał pewne kłopoty: jego starsza córka, Zuzanna, wyszła za mąż za Johna Halla, zdolnego lekarza i autora książki *Select Observations of English Bodies*. Szekspir doczekał się wnuczki Elżbiety, ale doczekał się także procesu o zniesławienie, jaki jego córka musiała wytoczyć człowiekowi, który oskarżył ją o cudzołóstwo. Zuzanna miała być bardzo podobna do ojca i odznaczać się dużą inteligencją. Druga jego córka, Judyta, ściągnęła na swą głowę ekskomunikę, albowiem wyszła za mąż w okresie zabronionym przez prawo kanoniczne.

W testamencie swym Szekspir rozdzielił równo swój majątek między najbliższych; wśród różnych innych wskazówek znaleźć też można dopisek: "dla mojej żony gorsze łóżko", co, jak twierdzą uczeni, nie miało być żadną złośliwością, istniało bowiem prawo zwyczajowe, według którego najlepsze łóżko zostawiano tylko pierworodnemu potomkowi męskiemu.

Szekspir umarł mając lat 52. Śmierć nastąpiła dnia 23 kwietnia 1616 roku. Jako powód śmierci w tak młodym stosunkowo wieku cytują przeziębienie, jakiego poeta nabawił się, po czasie wesoło spędzonym w towarzystwie przyjaciół. Pochowano go, tak zresztą jak całą jego rodzinę, w kościele stratfordzkim. Na grobie umieszczono napis pióra ponoć samego poety, którego treść uniemożliwiła ekshumację. Napis brzmi następująco:

Przechodniu strzeż się dla miłości Boga,
By prochu mego nie tknęła twa noga.
Temu, kto mnie posłucha, Bóg da z swej hojności;
Klątwa na głowę tego, co ruszy me kości.

Dzisiaj nie żyje już żaden w prostej linii potomek Szekspira. Jego wnuczka, Lady Barnard, umarła w roku 1667.

ALEKSANDRA POLESKA

## OD ADMINISTRACJI

Cena bieżącego podwójnego numeru MYŚLI POLSKIEJ (Nr 109-110, objętość zwiększona: 20 str.) wynosi w rozsprzedaży 2s. 6d. za egzemplarz.

Prenumeratorzy otrzymują bieżący podwójny numer MYŚLI po cenie zniżonej 2s.

Administracja MYŚLI POLSKIEJ zwraca się do Szanownych Prenumeratorów z prośbą o niezłoczne podawanie każdorazowej zmiany adresu.

# UWAGI

## FERMENT WŚRÓD SOCJALISTÓW

Bardzo niedawno jeszcze socjaliści brytyjscy twierdzili z uporem, że tylko oni mogą doprowadzić do trwałego porozumienia między Wielką Brytanią a Rosją. Pół roku temu w czasie wyborów powszechnych slogan ten był najchętniej używany w słowie i piśmie przez wszystkie grupy *Labour Party* — od umiarkowanych przywódców związków zawodowych do skrajnych intelektualistów lewicowych. Organami, które najgłośniej hołdowały tezie o możliwości współpracy angielsko-rosyjskiej na tle doktrynalnym były *New Statesman* oraz *Tribune*. Oba te tygodniki wbrew oczywistym faktom skłonne były np. widzieć w systemach komunistycznych narzuconych narodom Europy Środkowej samorodne ruchy rewolucyjne upośledzonych mas ludowych i robotniczych.

Doświadczenia ostatnich miesięcy musiały być bardzo gorzkie dla wielu socjalistów brytyjskich. Pomijając tych, którzy w każdej sytuacji oglądać się będą na natchnienia, promieniujące z Moskwy, co uczciwsi intelektualnie socjaliści zaczynają mieć poważne wątpliwości co do własnych założeń programowych w dziedzinie polityki zagranicznej. Inni, bardziej odważni, zaczynają nawet otwarcie przyznawać, że zachodzi potrzeba dokonania wyboru drogi i pójścia albo z totalistycznym komunizmem albo z obozem broniącym wolności i godności człowieka.

Akcja prezydenta Trumana w sprawie pomocy dla Grecji i Turcji, a przede wszystkim jego sformułowanie różnic między cywilizacją "wolnościową" a totalistyczną, odegrała w t.zw. obozie lewicy rolę katalizatora. Jednym z wyrazów dokonywającego się obecnie fermentu jest artykuł, który ukazał się na łamach londyńskiej *Tribune* z dnia 28 marca, pisma do niedawna jeszcze reprezentującego w polityce zagranicznej t.zw. linię środkową między kolektywizmem sowieckim a kapitalizmem amerykańskim. Fakt zaopatrzenia artykułu notatką, że redakcja niekoniecznie zgadza się ze wszystkimi poglądami autora, w niczym nie umniejsza znaczenia samego wystąpienia.

Autor artykułu G. L. Arnold w pierwszej części swoich rozważań zgodnie ze stosowaną frazeologią stara się jeszcze bronić czystej "socjalistycznej polityki zagranicznej", której jego zdaniem nie prowadził ani Bevin, ani *Foreign Office* (miała ona polegać na stanowczym popieraniu grup politycznych stojących na lewo od centrum). Nie waha się jednak wyciągnąć konsekwencji z sytuacji, jaka powstała obecnie; stwierdza więc, że skoro nastąpiło bankructwo polityki angielskiej w Europie Środkowej i na Bliskim Wschodzie, "Ameryka musiała przyjść z pomocą wszystkim nowoczesnym, choć niesocjalistycznym siłom, które znajdują się na tym obszarze".

"Siły takie — dodaje autor — na pewno istnieją w Turcji, gdzie sprawowały one częściową kontrolę nad rządem centralnym od r. 1920, i na pewno można podobnym siłom dopomóc w dojściu do władzy w Grecji. Jeżeli — a wydaje się to wcale prawdopodobne — wejście kapitału amerykańskiego doprowadzi do bardziej racjonalnego wykorzystania zasobów gospodarczych, włączając w to wprowadzenie podatku dochodowego dla tych, którzy wzbogacili się na wojnie i otrzymali kontrakty od rządu, nowoczesna społeczność może mieć jeszcze szansę ustalenia się w tych regionach bez pomocy planów pięcioletnich, pracy przymusowej, czystek, deportacyj, tropienia, trybunałów ludowych i innych środków sowieckiej demokracji w postaci, praktykowanej w chwili obecnej w większej części Europy Wschodniej".

"Zagadnienie to sięga głębiej, ponieważ jest rzeczą jasną, że brytyjski ruch robotniczy nie może żywić się w nieskończoność stęchłymi okruchami przestarzałych leninowskich teorii, takich jak twierdzenie, że reżim sowiecki z konieczności jest postępowy w przeciwieństwie do każdej formy cywilizacji zachodniej.

"Jest rzeczą ważną, by socjaliści demokratyczni w tym kraju nie pozwolili uzasadnionej swojej rozpaczy z powodu złego kierownictwa Bevina w zakresie spraw zagranicznych przerodzić się w ślepe posłuszeństwo koncepcji komunistycznej, według której świat przeżywa konflikt między "sowieckim socjalizmem" a "amerykańskim imperializmem" i wedle której w tym konflikcie wszystkie postępowe elementy winne być po stronie sowieckiej, niezależnie od niechęci do różnych właściwości reżimu stalinowskiego.

"Prawda leży po przeciwnej stronie: jakikolwiek byłby stosunek wzajemny między cywilizacją amerykańską w jej obecnej fazie ekonomicznego rozwoju, a tymi procesami, które określa się mianem imperializmu kiedy zachodzą w sferze zachodniej, a mianem demokracji, kiedy są przeprowadzane przez N.K.W.D., pozostaje faktem, że broniąc swoich własnych interesów Ameryka broni również owej cywilizacji wolnościowej, która jest rodzicem myśli socjalistycznej i której upadek otworzyłby wrota do zderzenia się sił faszystowskich i komunistycznych z okresu między wojnami".

Socjalista Arnold przyznaje z bólem, że szanse demokratycznego socjalizmu zostały w dużej mierze stracone, z drugiej jednak strony Stany Zjednoczone nie tylko przez swe bogactwo, ale także przez wyraźnie *nowoczesny* typ swojej struktury przemysłowej i socjalnej mogą przyciągnąć najbardziej dynamiczne grupy w krajach zacofanych i tą drogą kapitalizm amerykański może stać się w istocie rzeczy postępową alternatywą systemu sowieckiego.

Kończąc swe rozważania Arnold stwierdza lapidarnie: "Kapitał — a marksiści powinni to wiedzieć — nie zawsze jest niepostępowy".

## DE GAULLE PRZEMAWIA

Gdy opinia światowa skupiła swą uwagę na dwóch punktach centralnych polityki międzynarodowej: na Waszyngtonie i Moskwie, w departamencie Haute-Marne we Francji oczekiwano z niecierpliwością Świąt Wielkanocnych. Na dni te bowiem zapowiedziane zostało wystąpienie polityczne, które wydaje się posiadać ścisły związek między wypadkami zachodzącymi zarówno w Moskwie jak i Waszyngtonie. W skali tamtych wydarzeń wystąpienie gen. de Gaulle, jak wszystko co się dzieje na "półwyspie europejskim", jest raczej zjawiskiem wtórnym, echem głębokich procesów o skali światowej — dla nas jednak, którzy stanowimy tak bardzo integralną część kontynentu europejskiego, ważne być musi i to co się dzieje nad Sekwaną, jak ważny był w roku 1940 — głos tegoż gen. de Gaulle po upadku Francji, głos na fali londyńskiego radia — *La France n'est pas morte*!

Wydarzenia świąteczne, t.j. wystąpienie gen. de Gaulle w Strasburgu, które tyle krwi napsuły tow. Thorezowi i tow. Duclos, oraz ich mocodawcom, były trochę na wyrost rozdmuchane zarówno w samej Francji jak również w części opinii Stanów Zjednoczonych. Niemało do tej reklamy przyczyniło się zdenerwowanie komunistów francuskich, którzy zarządzili coś w rodzaju "ostrego pogotowia" w oczekiwaniu na mające nastąpić "uderzenie". Interesująca zapowiedź akcji de Gaulle'a w formie obszernego artykułu-reportażu ukazała się na trzy tygodnie przed tym w *New York Herald Tribune* (wydanie paryskie z dnia 15 marca). Autor, p. William J. Humphreys, opisując polityczną kwaterę gen. de Gaulle'a — Colombey-les-Deux-Eglises koło Chaumont — przedstawia całą atmosferę wielkiego wysiłku intelektualnego, jaki de Gaulle wkłada w przygotowanie się do ponownego wystąpienia na terenie politycznym. Być może autor artykułu w *New York Herald Tribune* przejaskrawił nieco w opisach tajemniczej wioski koło Chaumont z adiutantami krążącymi ustawicznie między generałem a Paryżem; możliwe też, że zbyt precyzyjnie przedstawił nowy program polityczny generała, który — zdaniem p. W. J. Humphreys — dąży do stworzenia gabinetu opartego na fachowcach; za daleko może idzie artykuł w dociekaniach na temat wewnętrznego układu politycznego, który chciałby de Gaulle widzieć we Francji. Autor sugeruje, że celem de Gaulle'a jest wykluczenie z życia politycznego komunistów jako obcej agentury, pracującej na rozkaz Moskwy. W tej dziedzinie de Gaulle jest jakoby zdecydowany na radykalne posunięcia. Jeśli się zważy stopień wpływów komunistycznych we Francji, zamiary takie wydają się planem bardzo śmiałym. Wytłumaczyć je można by tylko atmosferą, idącą z odległego Waszyngtonu, gdzie zabrano się do zdecydowanej rozprawy z komunistyczną "piątą kolumną". P. William J. Humphreys twierdzi na wstępie swoich rozważań, że generał będzie teraz lepiej przygotowany do dźwigania odpowiedzialności jako mąż stanu, niż to było po uwolnieniu Francji. Intensywne studia polityczne i ekonomiczne, uważna obserwacja wydarzeń bieżących ma jakoby generałowi ułatwić przecięcie tego gordyjskiego węzła, jaki zawiązał się naokoło Francji, jej żywotności i jej pozycji w Europie.

Na tle tej zapowiedzi, na tle wielkiej kampanii komunistów, demonstracyj, narad gabinetu i "pertraktacyj", którą mowę ma generał wygłosić w "cywilu", a którą w mundurze — wystąpienia strasburskie wypadły — w ich efekcie słownym — o wiele skromniej.

Motyw odbudowy Europy przez pośrednictwo między dwiema rywalizującymi potęgami — Stanami Zjednoczonymi i Rosją — nie wydaje się przekonywający, przynajmniej dla Europy, bez wyeliminowania tej brutalnej przewagi, jaka nad nią zaciążyła od chwili czerwonego zalewu.

Jak na intensywną obserwację ostatnich wydarzeń i studia polityczno-gospodarcze, to niezbyt wiele. Przypomina się tutaj wojenna sylwetka gen. de Gaulle'a jako taktyka, usiłującego wylawirować Francję z niebezpieczeństw przyszłości — podczas teherańsko-jałtańskich odwrotów od programu wolnej Europy.

Gdy się jednak zważy polityczną sytuację Czwartej Republiki, nieustanny szantaż podkomendnych p. Thoreza, nierozwiązany dotychczas problem niemiecki w Europie — trudno byłoby oczekiwać wystąpień, realizujących punkt po punkcie przewidywania dziennikarza z *New York Herald Tribune*. Opinia polska z wielką uwagą śledzić powinna wydarzenia francuskie. Niezależnie od oceny gen. de Gaulle'a jako męża stanu czy przywódcy politycznego — pozostanie on zawsze centralną postacią francuskiego oporu w ostatniej wojnie, w czasach, gdy niemieckie dzwony głosiły koniec Europy. Do dziś nad tą ponurą symfonią zagłady brzmi w uszach każdego, kto słuchał (a Polacy słuchali wszędzie), zdanie: — *La France n'est pas morte*!

Nie zginęła także Europa, a z nią wszystkie wartości, które przyniosły światu jej narody.

## W KRAJU O EMIGRACJI

Opinia o polskiej emigracji politycznej na Zachodzie, jaką p. Antoni Słonimski wyraził w korespondencji swej na łamach warszawskich *Nowin Literackich* — nowego tygodnika, wzorowanego na przedwojennych *Wiadomościach Literackich* — nie ma żadnego znaczenia obiektywnego i stanowi jedynie dokument psychologiczny. Słonimski, który przez całą wojnę pisał wiersze o swej tęsknocie do Warszawy, a który później wyraźnie zsolidaryzował się z postawą polityczną pp. Pruszyńskiego i Litauera, od dwóch lat jakoś do tej Warszawy wybrać się nie może. Zajrzał tam wprawdzie rok temu z górą, ale po kilku dniach wrócił czym prędzej do Londynu, by nadal redagować subwencjonowaną obficie, a nikomu niepotrzebną, *Nową Polskę*, później zaś by objąć posadę w UNESCO, organizacji stworzonej pod auspicjami O.N.Z., a mającej swą siedzibę w Paryżu. Stamtąd właśnie wysłał do *Nowin Literackich* korespondencję, w której m.i. deklaruje, że musi znów odwlec na czas nieokreślony swój powrót do Polski, gdyż pracuje nad dwiema sztukami, których nie zdołałby napisać w "nowej i trudnej atmosferze", panującej obecnie w Kraju. Oczywiście w ten sposób wyszukiwać można przeszkody bez końca. Trudno się w tych warunkach dziwić, że p. Słonimski, pragnąc widocznie zagłuszyć wątpliwości i własne, i czytelników korespondencji, obrzuca stekiem niewybrednych inwektyw emigrację polską. Wyładowuje w ten sposób własny swój, osobisty kompleks, w sposób wprawdzie nie zbyt ładny i budujący, ale dosyć często spotykany u tego rodzaju "intelektualistów."

Jest rzeczą bardziej przykrą, gdy uwagi na temat emigracji, nie grzeszące obiektywizmem ani znajomością rzeczy, spotykamy na łamach nielicznych ukazujących się w Polsce tygodników katolickich. W poprzednim numerze *Myśli Polskiej* musieliśmy sprostować niektóre twierdzenia, zawarte w artykule skąd inąd poważnego i światłego publicysty, jakim jest Stefan Kisielewski. Obecnie przypadło nam zwrócić uwagę na niefortunną notatkę p.t. "Smutne ale prawdziwe", ogłoszoną w kronice politycznej *Tygodnika Warszawskiego* (w nr. 50 z r. ub. który niedawno dopiero pojawił się w sprzedaży w Londynie). Notatka ta przytacza ustępy z artykułu, który ukazał się na łamach jednego z polskich tygodników londyńskich i omawiał stosunki na emigracji w sposób satyryczny, z tendencją moralizatorską. Artykuły tego typu zawierają zawsze sporą dozę przesady — nie przeszkodziło to jednak autorowi notatki w *Tygodniku Warszawskim* uznać tego głosu za "smutną, ale prawdziwą" charakterystykę emigracji i zaopatrzyć go przy końcu dodatkowym uszczypliwym komentarzem. Szkoda doprawdy, że kronikarz *Tygodnika Warszawskiego* nie zna wydanej niedawno a doskonale napisanej książeczki Karola Zbyszewskiego *Polacy w Anglii*, — szkoda, bo może by ją uznał za prawdziwszy i dużo mniej "smutny" obraz naszego tutejszego życia, naszych dążeń i wysiłków.

Jeszcze osobliwsze uwagi znajdujemy w artykule P. Kruszewskiego p.t. "Anomalie" w nr. 8 z dnia 23 lutego krakowskiego *Tygodnika Powszechnego* — pisma, którego wysoki poziom cieszy się z pewnością uznaniem Polaków nie tylko w kraju, ale i na emigracji. P. Kruszewski cytuje wyjątki z jakiegoś prywatnego listu z Londynu, którego autor (czy autorka) uskarża się na rzekomy brak należytego kolportażu prasy krajowej wśród Polaków w W. Brytanii i na "niesamowicie tendencyjne" oświetlanie sytuacji w kraju przez prasę emigracyjną.

"Tutejsze społeczeństwo polskie — brzmi cytat z listu —, które było w tym szczęśliwym położeniu, że nie przeżyło bezpośrednio okupacji niemieckiej, absolutnie nie zdaje sobie sprawy, jakie niebezpieczeństwo grozi Polsce na wypadek odrodzenia się germanizmu.

"Również bardzo ważnym jest problem dostarczenia tu odpowiedniej ilości podręczników szkolnych i lektur, gdyż rodzice są bezradni, widząc jak ich dzieci powoli zapominają języka polskiego".

Obawiamy się, że cytaty powyższe dowodzą nie tyle "zniekształcania" obrazu Polski dzisiejszej przez prasę emigracyjną, co raczej wręcz fantastycznej nieznajomości społeczeństwa emigracyjnego przez niewymienionego autora (wzgl. autorkę) listu. W żadnym bodaj kierunku emigracja polska w ciągu ostatnich lat siedmiu i pół nie dokonała większego wysiłku, niż w kierunku uświadomienia społeczeństw Zachodu o bezprzykładnych bestialstwach niemieckich w ciągu wojny i o niebezpieczeństwie teutońskim w ogóle. Świadczy o tym choćby niezliczona ilość wydawnictw na ten temat, jakie staraniem Rządu Polskiego, różnych instytucji polskich, a nawet osób prywatnych ukazały się w okresie 1939-1946 na terenie nie tylko W. Brytanii, ale także Francji, Belgii, Włoch, Szwecji, Szwajcarii, Portugalii, krajów Ameryki łacińskiej, dominiów brytyjskich, Indii. Polska Czarna Księga (w Anglii wydana pod tytułem *The German New Order in Poland*, w Ameryce p.t. *Polish Black Book*), opisująca okupację niemiecką w Polsce, osiągnęła w obu krajach jeden z najwyższych nakładów ze wszystkich większych dzieł, poświęconych wojnie. Inne wydawnictwa tego typu cieszyły się również dużym powodzeniem, mimo, że w krajach anglosaskich Polacy stale spotykali się z zarzutem przesady w przedstawianiu niemieckich *atrocities*.

Obecnie cała w praktyce emigracja polska — mimo bardzo niepomyślnych w tym zakresie wiatrów — zgodna jest w obronie nowej granicy zachodniej Polski, oraz w ostrzeganiu czynników anglosaskich przed nieopatrznymi tendencjami do stawiania na kartę niemiecką w miejsce przywrócenia wolności ujarzmionym krajom Europy Środkowo-Wschodniej. W tych warunkach trudno doprawdy pojąć, co miał na myśli autor cytowanego w *Tygodniku Powszechnym* listu.

Nie odpowiada również prawdzie jego twierdzenie, jakoby brak było w Anglii lektur dla uczących się dzieci i młodzieży; ilość będących obecnie w sprzedaży przedruków dzieł literatury polskiej — z różowymi tomikami *Szkolnej Biblioteki na Wschodzie* na czele — jak dotychczas przekracza produkcję krajową w tym zakresie. W sprzedaży jest także znaczna liczba podręczników szkolnych, będących przedrukami z podręczników przedwojennych. Rzecz jasna, że niezależnie od tego wszystkie wydawnictwa krajowe (poza śmieciem PPR-owskiej propagandy) — w tym także podręczniki — są jak najbardziej pożądane i cieszą się w W. Brytanii bardzo znacznym pokupem.

Przytoczone wyżej głosy niekomunistycznych tygodników krajowych napawają nas głębokim smutkiem. Wierzymy, że niektóre z tych głosów trzeba położyć na karb "dostosowywania się" do atmosfery i sloganów, narzucanych z góry. Niemniej sądzimy, że szerzenie mylnych i krzywdzących wersji na temat emigracji pociąga za sobą skutki szkodliwe, dezorientując do reszty społeczeństwo w Kraju. Jest rzeczą jasną dla każdego myślącego Polaka, że istnienie politycznej emigracji stanowi w obecnej sytuacji międzynarodowej, póki Polska jest ujarzmiona, konieczność, której nawet nie potrzeba uzasadniać. Z drugiej strony kto jest jako tako poinformowany o położeniu na emigracji, zdaje sobie sprawę, że jej poziom moralny nie jest wcale niski i że nie składa się ona tylko ze zobojętniałych na sprawy narodowe groszorobów. Nie wiemy, czy i w jakim stopniu uda się tej emigracji wypełnić historyczne zadanie, jakie jej przypadło w udziale, — jesteśmy jednak świadomi, że każdy z nas wytężyć musi wszystkie siły, by się do tego przyczynić.

## BERMAN—BALDUR VON SCHIRACH

W procesie sowietyzacji Polski na jedno z czołowych miejsc wysunęła się sprawa młodzieży. Na ten odcinek frontu antypolskiego skierowano ostatnio specjalną uwagę, przesuwając z Paryża obywatela Skrzeszewskiego i wyznaczając mu robotę zniszczenia polskiego z ducha i z postawy młodego pokolenia. Skrzeszewski jako minister oświaty otrzymał jeszcze dodatkowego opiekuna, jakim jest specjalny mąż zaufania Kominternu, tow. J. Berman. Tak się składa, że paryska placówka obserwacyjna reżimu warszawskiego od dwóch lat jest odwodem dla "ideologów" młodego pokolenia komunizowanej Polski. Skrzeszewski i Jędrychowski (obecny przedstawiciel Warszawy w Paryżu) — to dwie postaci, które w planach moskiewskich na Polskę niejedno już mają na swoim koncie.

Przedwojenna działalność Jędrychowskiego na terenie "elitarnej" komuny wileńskiej dobrze jest znana wszystkim, którzy obecne niebezpieczeństwo dostrzegali na długo nim pp. Skrzeszewskim i Jędrychowskim zechciało się być ministrami i ambasadorami.

Jakub Berman pozostałby może nadal w cieniu jako "wódz młodzieżowy", gdyby nie list ambasadora sowieckiego Lebiediewa, odczytany na posiedzeniu Politbiura P.P.R. w sierpniu 1946 r. i adresowany na ręce tegoż właśnie obywatela Jakuba Bermana. Ambasador Z.S.S.R. Lebiediew zalecał w swym liście utworzenie wielkiej, jednolitej organizacji młodzieży, mającej obejmować wszystkich od lat . . . dziesięciu. Cała organizacja mogłaby się nazywać jakkolwiek. Mogłaby to np. być "młodzież demokratyczna". Najwyższym szczeblem, według "rad" amb. Lebiediewa, byłaby również demokratyczna akademia, wychowująca instruktorów dla dalszego komunizowania młodzieży.

Już w czasach okupacji niemieckiej agentura sowiecka powołała w Polsce "młodzieżowy" sektor P.P.R. pod nazwą Związku Walki Młodych. Nazwa — jak zwykle wtedy — miała przede wszystkim dezorientować. W okresie okupacji Związek ten spełniał, podobnie jak cała komuna, zadania dywersyjne w stosunku do podziemnego państwa polskiego. Dziś jest to organizacja uprzywilejowana, do której metodami powszechnie znanymi nagania się młodzież polską.

Na posiedzeniu zarządu głównego Związku Walki Młodych w dn. 21-23 lutego b. r. J. Berman wygłosił przemówienie występując w myśl wskazań tow. ambasadora Lebiediewa.

W przemówieniu tym p. Berman nawołuje do rewizji postawy młodzieży, przejścia z postawy biernej do czynów, przez odwoły-

---

## DO NASZYCH CZYTELNIKÓW

"Myśl Polska" nie korzysta z żadnych subwencji i opiera się wyłącznie na wpłatach czytelników.

Prosimy uprzejmie o regularne opłacanie prenumeraty.

wanie się do haseł, które mogą "porwać" najszersze rzesze młodego pokolenia". Hasłem tym przede wszystkim ma być pożegnanie się raz na zawsze z polskimi ziemiami wschodnimi i mobilizacja wszystkich twórczych sił w narodzie dla wysiłku na ziemiach odzyskanych.

Jest to jeden zaledwie z kolejnych punktów "młodzieżowych" Lebiediewa — punkt zresztą najłatwiejszy do propagandy, bezsporny w swym odwołaniu się do ziem "odwiecznie polskich". Cała słabość tej podstawy mobilizacyjnej młodego pokolenia polega na tym, że druga "połowa prawdy", obejmująca Polskę za Bugiem od Wilna po Lwów i Krzemieniec, — to właśnie *istotna druga połowa*, bez czego w ogóle prawdy niema, o czym wie dziś każde dziecko, którego jeszcze nie zdążył zatruć ani obywatel Skrzeszewski, ani Berman.

Nad pokoleniem najmłodszym, które w tragicznych warunkach okupowanego Kraju poznaje prawdę i oddziela ją od fałszu,— nad tym pokoleniem pochylił się tym razem nie brunatny, ale równie koszmarny cień hitlerowskiego "wodza młodzieży", przeklętej pamięci Baldura von Schirach. Pamiętamy te maszerujące kolumny ze swastyką — złamanym krzyżem — na ramionach. Wielu z tych ledwie dorastających pełniło później z upodobaniem rolę zwyrodniałych katów w obozach koncentracyjnych.

Na takie drogi — degeneracji młodego pokolenia — pragnie wepchnąć polską młodzież druga siła, łamiąca krzyże.

## ECHA LONDYŃSKIEGO ZJAZDU

Zjazd londyński w dn. 23 i 24 lutego b. r., zwany także pierwszym Kongresem Zjednoczenia Polskiego, wywołał zasadnicze sprzeciwy zarówno co do metod organizacyjnych, jak i spraw związanych ze statutem, wyborami i t.d. W poprzednim, marcowym numerze *Myśli Polskiej*, ogłosiliśmy artykuł, przedstawiający nasze krytyczne stanowisko w tej sprawie.

Obecnie, jako potwierdzenie naszych obaw i zastrzeżeń w dziedzinie swoiście pojętych metod "jednoczenia", otrzymujemy uchwałę walnego zebrania Związku Prawników Polskich w W. Brytanii, z dnia 29 marca r. b. Uchwała ta, stwierdza między innymi:

"Na I Kongresie Zjednoczenia Polskiego w W. Brytanii powzięta została uchwała odrzucająca zasadę powszechności — możliwą do osiągnięcia już w obecnym okresie, mianowicie prawo należenia do Zjednoczenia wszystkich organizacji społecznych działających na terenie Wysp Brytyjskich."

Czytamy dalej w uchwale walnego zebrania Związku Prawników:

". . . Walne Zebranie Stowarzyszenia Prawników Polskich w Zjednoczonym Królestwie stwierdza, że przez tę uchwałę uniemożliwione zostało skupienie wszystkich polskich żywych sił, stwarzając bardzo poważne niebezpieczeństwo rozbicia uchodźstwa polskiego w miejsce jego jednoczenia. . . .

"Walne Zebranie Stowarzyszenia Prawników Polskich w Zjednoczonym Królestwie nie przyjmuje do wiadomości faktu odbycia się wyborów do Rady. Walne Zebranie stwierdza, że władze Zjednoczenia Polskiego, przewidziane statutem Zjednoczenia — nie zostały powołane przez Kongres w całości. Rada Naczelna Zjednoczenia Polskiego, mająca w okresie między kongresami bardzo istotne funkcje kontrolne — w chwili obecnej nie istnieje i wybór jej bez zwołania nowego Kongresu jest niemożliwy".

Na zakończenie uchwalonego wniosku walne zebranie Związku Prawników nakłada obowiązek na nowy zarząd Związku domagania się zwołania nowego Kongresu w terminie najbliższym, na którym omówione braki zostałyby usunięte, oraz zaleca swemu zarządowi zwrócenie się do innych organizacji społecznych w W. Brytanii z wezwaniem o podjęcie wspólnej akcji o realizację wyżej wymienionych postulatów.

Przytoczone części uchwały walnego zebrania Związku Prawników wymownie ilustrują fakt, że "jednoczenie", dokonane na zjeździe londyńskim, nie wytrzymuje próby w zetknięciu się z rzeczywistością, którą jest opinia przemyślnie omijanych "dołów".

## WILK Z "CZERWONEGO KAPTURKA"

Żałujemy bardzo, że *Myśl Polska* nie ma rubryki w rodzaju *Camera obscura* — tam bowiem należałoby w całości przytoczyć artykuł p. Andrzeja Pomian-Dowmuntta, zamieszczony w numerze 9 miesięcznika *Trybuna*, będącego organem NID-u. W braku specjalnego działu dla tego rodzaju wypowiedzi zmuszeni jesteśmy — ze szkodą naszych czytelników — podać tylko idee przewodnie p. Andrzeja Pomian-Dowmuntta, z jego artykułu p.t. *Dwa niebezpieczeństwa*.

Autor postawił sobie za cel odpowiedź na pytanie: "Czym jest w swej istocie demokracja?" I odpowiada (kursywą): "Demokracja w sensie politycznym to rządy większości przy jednoczesnym zagwarantowaniu mniejszości prawa do stania się większością w drodze wolnej gry politycznej". Aż miło czytać! Co oznaczają poszczególne elementy tej definicji, jak np. "wolna gra polityczna" — tego nam autor wprost nie tłumaczy. Mamy jednak na to kilka ilustracji z ostatnich czasów, jak np. kongres "Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii", a nieco wcześniej zjazd w Brukseli. Najbardziej wyczerpujących informacji udzieliliby zapewne członkowie NID-u, będący w poprzednim wcieleniu wybitnymi działaczami tak znanych demokratycznych organizacji, jak "Ozon", Legion Młodych, Z.P.M.D. i.t.d., o których złośliwi twierdzili, iż miały coś wspólnego z "sanacją" i jej znanymi "demokratycznymi" metodami, jak Brześć i Bereza, że wymienimy te najbardziej znane przejawy "wolnej gry politycznej".

Drugą przewodnią ideą p. Andrzeja Pomian-Dowmuntta jest, że do demokracji jako *malum necessarium* potrzebne są partie, ponieważ "od dwu tysięcy lat wynalazczość ludzka nie zdobyła się na nic lepszego". A nieprawda! Szkoda, że autor nie porozumiał się ze swym kolegą NID-owym i redakcyjnym p. Tadeuszem Zawadzkim, który dobrze powinien wiedzieć, że "ludzkość zdobyła się". Oto mianowicie powstał kiedyś Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem, który zwalczał partie i partyjnictwo, sam partią nie był, a wychował "demokratów". Wspomniany Blok przeszedł swą reinkarnację "obozową" i stał się Obozem Zjednoczenia Narodowego, krótko zwanym "Ozonem", o czym także publicyści z *Trybuny* powinni wiedzieć.

Trzecią ideą autora *Dwóch niebezpieczeństw* jest, że w życiu polskim ("byłoby rzeczą próżną ukrywać . . .") czai się totalizm i faszyzm. Mniej na emigracji, gdzie faszyści i totaliści włożyli na swe głowy czapkę demokratyczną i paradują w niej w ten sposób, jak wilk z "Czerwonego Kapturka". Totalizm i faszyzm bardziej zakorzenił się w Kraju, gdzie . . . "rozmaite N.S.Z.-cty lub N.Z.W. przyznają się szczerze do chęci uchwycenia siłą w momencie zmiany sytuacji całej władzy w swoje ręce".

Tu już wypada p. Andrzejowi Dowmunttowi-Pomian przypomnieć, że:

a) ta jego argumentacja nie jest nowa; z identycznymi "zarzutami" występowali pp. Litauer, Pruszyński, Słonimski, Kot, a obecnie występują ob. ob. Bierut, Radkiewicz, plus ciż;
b) nieścisłość "literacka": wilk-faszysta w "Czerwonym Kapturku" nie paraduje, tylko leży spokojnie w łóżku: czeka, aż nadarzy się okazja spożycia małej demokratki;
c) nic nie wiadomo o "szczerych chęciach" N.S..Z-tu i N.Z.W., chyba, że się do tego p. Dowmunttowi "przyznały", w co jednakże śmiemy wątpić. Szczerze przyznają się w Kraju tylko panowie Rzepeccy.

Autor z *Trybuny* przestraszył się nieco oskarżenia. Przerwał wprawdzie maskaradę, żeby powiedzieć głośno, o czym wszyscy w NID-zie "szepczą po cichu", ale powiada, że nie chce przez to oskarżać "całego Stronnictwa Narodowego, którego wielu działaczy na emigracji i w kraju ma nie mniejsze od naszego (NID-u — przyp. Red.) prawo do miana demokratów".

I pocóż autor tak osłabia swój artykuł — poco? Wszyscy to faszyści, totaliści — jak jeden. W sensie pp. Litauera, Słonimskiego, Kota, w sensie *Dwu niebezpieczeństw*, — wszyscy ze Stronnictwa Narodowego to "faszyści" i "czarna reakcja."

Przedostatnia idea p. Pomiana-Dowmuntta brzmi: "Największe niebezpieczeństwo dla demokracji polskiej nie kryje się bynajmniej gdzieś z zewnątrz. Tkwi ono w samych partiach, bez których nie może być demokracji". Zaraz, zaraz . . . Kto to samo mówi teraz w Kraju?

Ostatnia wreszcie idea — to to, że takie hańby, jak Brześć, Bereza, sławkowska ordynacja wyborcza i.t.p. — nie były bynajmniej przypadkiem. Spowodowała je degeneracja życia partyjnego. A więc to myśmy zrobili (po cóż dziś ukrywać!) zamach majowy, Brześć i Berezę. Myśmy Sławkowi ordynację podsunęli. Tak. Nie można chyba bardziej lekkomyślnie traktować historii. Niechże ocalenie — jeśli z naszego łona wyjść nie może — wyjdzie z łona p. Pomiana i jego kolegów.

(w.t.)

# Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Tak się złożyło, że w ciągu ostatnich trzech miesięcy odeszło na zawsze trzech ludzi, którzy, każdy w swym zakresie, odegrali wybitną rolę w życiu Poznania i Polski zachodniej. Byli nimi: śp. Czesław Kędzierski, śp. Stefan Dąbrowski i śp. Stanisław Celichowski.

## Ś.P. CZESŁAW KĘDZIERSKI

Czesław Kędzierski był zdolnym pisarzem i tłumaczem — a przy tym człowiekiem żywiołowego temperamentu, niezwykle dobrego serca i wielkiego osobistego uroku. Już przed Pierwszą Wojną Światową odgrywał znaczną rolę w ruchu narodowym Wielkopolski, ruchu, który przewodził społeczeństwu w jego twardych zmaganiach z niemiecką nawałą. Był członkiem redakcji *Kuriera Poznańskiego*, pracował w "Sokole" i innych organizacjach społecznych.

Po wojnie i odzyskaniu niepodległości został kierownikiem departamentu kultury i sztuki w ówczesnym Ministerstwie b. Dzielnicy Pruskiej i położył na tym stanowisku duże zasługi około organizacji życia kulturalnego na ziemiach zachodnich. W r. 1926 powraca do redakcji *Kuriera Poznańskiego* jako jej sekretarz generalny, współredaktor, a później także kierownik dodatku kulturalnego i rozrywkowego w sobotnich, dużych numerach *Kuriera* (niezależnie od codziennego Działu Kultury i Sztuki, który w *Kurierze Poznańskim* prowadził niezapomniany Witold Noskowski, zamordowany przez Niemców w Forcie VII w Poznaniu). Na swym stanowisku w *Kurierze* Kędzierski trwał do pierwszych dni wojny, zyskując sobie powszechny mir i respekt wśród dziennikarzy Polski zachodniej. Po zgonie Bohdana Jarochowskiego został jego następcą na stanowisku prezesa Syndykatu Dziennikarzy Wielkopolskich i spełniał tę rolę również do końca, biorąc zawsze niezwykle czynny i wydatny udział w zjazdach Związku Dziennikarzy R.P. oraz zarządu Związku.

Swą działalność pisarską poświęcał przede wszystkim Poznaniowi i Wielkopolsce. Napisał monografię Teatru Polskiego w Poznaniu i ogłosił w *Kurierze Poznańskim* szereg bardzo interesujących wspomnień o grodzie Przemysława z okresu ostatnich lat kilkudziesięciu. Niestety nie wyszły one w postaci osobnej książki, a mogłyby godnie rywalizować ze znanymi *Przechadzkami po Poznaniu* Marcelego Mottego. Znany był też jako bardzo dobry tłumacz; przełożył m.i. na język polski kilka powieści Knuta Hamsuna.

Nade wszystko kochał dzieci i im to, jako "Wujcio Czesio", poświęcał swe pogadanki radiowe, znane w całej Polsce. Na kilka zaledwie tygodni przed jego zgonem ukazały się w jego doskonałym przekładzie i z jego przedmową "Bajki" Andersena.

Zapadłszy na złośliwą grypę, zmarł w Poznaniu w dn. 16 stycznia r. b. W dniu 26 lutego w kościele Brompton Oratory w Londynie odbyło się nabożeństwo żałobne za Jego duszę, urządzone staraniem grona Jego przyjaciół i kolegów, przebywających w Wielkiej Brytanii.

B.P.

## Ś.P. STEFAN DĄBROWSKI

Dnia 23 marca b.r. zmarł w Poznaniu wybitny uczony i polityk, b. rektor Uniwersytetu Poznańskiego, śp. profesor Stefan Dąbrowski.

Stefan Dąbrowski urodził się w r. 1879. Studia w zakresie chemii lekarskiej odbył na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Po utworzeniu Uniwersytetu Poznańskiego w r. 1919 opuszcza katedrę we Lwowie i udaje się do Poznania. Wydział Medyczny U.P., który uchodził za jeden z najlepszych w Polsce, śp. prof. Dąbrowskiemu zawdzięcza w dużej mierze wyposażenie i wysoki poziom. W r. 1939 Stefan Dąbrowski został wybrany przez Senat Uniwersytetu rektorem; niestety wybuch wojny nie pozwolił mu objąć normalnego urzędowania. Poszukiwany przez władze okupacyjne prof. Dąbrowski ukrywa się najpierw na wsi w Wielkopolsce, a później na Podhalu. Z chwilą wyparcia Niemców na wiosnę 1945 zjawia się natychmiast w Poznaniu i w niezmiernie ciężkich warunkach zaczyna z niczego odbudowywać organizację uniwersytetu i jego zniszczone zakłady.

Poza nauką (był członkiem Akademii Umiejętności) prof. St. Dąbrowski od najwcześniejszej młodości brał czynny udział w życiu politycznym. Był członkiem tajnej Ligi Narodowej. W okresie Pierwszej Wojny Światowej zredagował na podstawie własnych studiów memoriał o wyczerpujących się rezerwach armii państw centralnych. Opracowanie to zostało przekazane drogą poufną rządom sojuszniczym, dla których stanowiło niezmiernie cenny materiał.

W niepodległej Polsce prof. Stefan Dąbrowski zostaje posłem na Sejm, w którym zasiada nieprzerwanie z ramienia obozu narodowego w latach 1919—1935. W okresie lat 1920—21 był Podsekretarzem Stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

Odwagą przekonań, wielkim charakterem, rozległą wiedzą i osobistym urokiem śp. Stefan Dąbrowski zdobył sobie serca kolejnych pokoleń młodzieży uniwersyteckiej. Szczególną wdzięczność śp. Zmarłemu winna jest poznańska Młodzież Wszechpolska, której był długoletnim kuratorem i serdecznym opiekunem. Przez Jego śmierć ruch narodowy stracił jednego ze swych najwybitniejszych przywódców starszego pokolenia.

a.d.

## Ś.P. STANISŁAW CELICHOWSKI

Dnia 29 marca b. r. w godzinach popołudniowych śp. Stanisław Celichowski zasłabł nagle w londyńskiej kolejce podziemnej. Odwieziony do szpitala zmarł tegoż samego dnia, zaopatrzony Sakramentami Św. Pogrzeb odbył się w Wielką Sobotę na St. Mary's Catholic Cemetery w Kensal Green, przy licznym udziale przyjaciół Zmarłego. Prezydenta R.P. i Rząd reprezentował minister B. Kuśnierz. Wśród uczestników byli m. in. ministrowie Z. Berezowski i prof. W. Folkierski, oraz prezes dr. T. Bielecki.

Śp. Stanisław Celichowski urodził się 25 września 1885 r. w miejscowości Bnin-Prowent w Wielkopolsce. Po ukończeniu gimnazjum św. Marii Magdaleny w Poznaniu, które wydało tylu wybitnych Wielkopolan, śp. Stanisław Celichowski podążył na zachód, dokąd kierowała się wówczas większość młodzieży zaboru pruskiego na studia wyższe. Po uzyskaniu stopnia doktora prawa na uniwersytecie w Halle powrócił do Wielkopolski, gdzie po odbyciu praktyki w sądownictwie otworzył niebawem kancelarię adwokacką w Ostrowie. W r. 1916 przeniósł swoje biuro do Poznania, z którym odtąd związana była wielostronna jego praca publiczna. Był jednym z głównych przywódców Powstania Wielkopolskiego w r. 1918—19. Kiedy w półtora roku potem Warszawa była zagrożona nawałą ze wschodu, ponownie zgłosił się do służby wojskowej. Gdy wreszcie w Polsce warunki pokoju utrwaliły się, śp. Celichowski całą swą energię oddał pracy nad budową od podstaw życia państwowego. Był najpierw delegatem do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Ministerstwie b. Dzielnicy Pruskiej, później bez przerwy brał czynny udział w pracach samorządu wielkopolskiego i Radzie Miejskiej Poznania. Jak wielkim uznaniem cieszył się wśród narodowego społeczeństwa poznańskiego, o tym najlepiej świadczy fakt trzykrotnego jego wyboru na stanowisko prezydenta stołecznego miasta Poznania. Wybór jego nie został zatwierdzony przez ówczesny reżim, a samorządowi poznańskiemu narzucono rządy komisaryczne. Dopiero w tragicznych dniach września 1939 r., po opuszczeniu Poznania przez władze administracyjne, mógł śp. Celichowski objąć urzędowanie na Ratuszu Poznańskim, gdzie wykazał wspaniałe opanowanie i zdolności administracyjne. Dalsze losy wojenne rzuciły go do drugiego miasta kresowego — do Lwowa. Po krótkim okresie udziału w pracach społecznych (głównie opiece nad uchodźcami z Zachodu Polski) w tym mieście, został uwięziony i wywieziony w głąb Rosji. Wrócił stamtąd ze zdrowiem nadwyrężonym. Mimo to w Londynie oddał znów swe wielkie doświadczenie administracyjne i wiedzę prawniczą sprawie odbudowy Polski niepodległej. W Ministerstwie Odbudowy Administracji Publicznej kierował w charakterze podsekretarza stanu pracami przygotowawczymi nad przyszłą administracją ziem odzyskanych na Zachodzie. Jednocześnie wykładał prawo cywilne na Polskim Wydziale Prawa Uniwersytetu Oksfordzkiego.

Śp. Stanisław Celichowski należał do tego pokolenia wielkopolskiego, które łącząc wychowanie we wszechpolskiej szkole politycznej Romana Dmowskiego z doświadczeniem twardej i rzetelnej pracy w walce z pruskim zaborcą, wniosło do polskiego życia publicznego wartości trwałe i nieprzemijające. W ruchu narodowym, z którym Zmarły związany był od najwcześniejszej młodości, dokonania Jego zachowane będą we wdzięcznej pamięci.

a.d.

BEATA OBERTYŃSKA

## SKROPLONA NOC

*Jak ja to powiem? Jak to w słowa zmieszczę?!*
*Nie! Nie ma rzeczy kroplistszej i świeższej*
*bardziej srebrzystej od rannej godziny*
*nad łan czerwonej koniczyny!*
*Po pas — po szyję zarosić się możesz*
*kiedy w jej gęstwę świtem wejdziesz. Boże!*
*Ten ziąb ziejący od splątanych łodyg,*
*ten miąższ — ta rzeźwość soczysta . . . Choć młody*
*dzień się złociście zaróżowił w okrąg,*
*pszczół jeszcze nie ma . . . Na pszczoły za mokro.*
*Zimny miód w kwiecie czas ma na dospanie.*
*Noc się pomroką zapóźniła w łanie . . .*
*Przyziemnym cieniem w zieleni ustrzegła.*
*Teraz ci kolan zaroszonych sięga.*
*Nie cud to ludzie?! Cud — powiedzcie sami —*
*przez noc skroploną pruć się kolanami!*

BEATA OBERTYŃSKA

JERZY FACZYŃSKI

## PIEŚŃ LOTNIKA

*Ty chodzisz doliną*
*zatrutą stęchłym wiatrem,*
*pod mostem horyzontu,*
*w cieniu ssących chmur;*
*mnie górą, mleczną drogą*
*niesie łaska maszyny.*
*Przez przełęcze pierzaste —*
*na błonia snów.*

JERZY FACZYŃSKI

# KULTURA I ŻYCIE

**Zamaskowany purytanin — Egzystencjalizm i religia — Argentyna daje tanią książkę — Nowele Goetla**

W roku 1891 Bernard Shaw ogłosił książkę "Kwintesencja ibsenizmu", w której z dziennikarską werwą skomentował dzieła wielkiego dramaturga norweskiego. Teatr Shawa jest kontynuacją sztuki ibsenowskiej nie tylko w polemicznym stosunku do widza, ale i w samej technice dramatycznej. Autor "Świętej Joanny" wprowadza dyskusję tam, gdzie przedtem była tylko akcja; kpi sobie z tradycjonalnego rozwoju wątka dramatycznego, nadziewa charaktery dialektyką i wypruwa z nich kolejno intelektualne wnętrzności. Typowa scena w sztuce Shawa to niejako klubowe posiedzenie kilku osób, które — niezależnie od tła społecznego i kolorytu czasu — uprawiają tę samą szermierkę słowną na temat wszystkich rzeczy i spraw pod słońcem. Shaw pozostał na scenie dziennikarzem, po dziennikarsku zajmuje się wszystkim i po dziennikarsku oskarża lub poucza.

Ten utylitaryzm teatralny nie zawsze czyni Shawa interesującym pisarzem: po latach jego długiej kariery literackiej niektóre z głośnych sztuk jak *Man and Superman* czy *Doctor's Dilemma* zaśniedziały się, jak artykuły wstępne z niegdyś bojowych dzienników; trudno dziś przejmować się problemem Armii Zbawienia czy wypadami satyrycznymi przeciw Imperium. Kiedy tylko Shaw jest słaby artystycznie, teatr jego staje się po prostu zmorą dialektyczną. Ibsen nigdy nie poświęcił teatru dla tematu — i dlatego sztuki jego nie tracą na napięciu, choć problem trąci już myszką, lub wygląda na stracha na wróble; Ibsen umiał tworzyć żywych ludzi teatru, których czas nie zamienił w manekiny, — u Shawa, niestety, nazbyt dużo manekinów; przyszłość najbliższa ukaże ich napewno jeszcze więcej, demaskując doraźność dawnych sukcesów.

Wszystkie te uwagi, które w naszej kronice muszą pozostać tylko uwagami, nasunęły się raz jeszcze podczas widzenia cyklu *Back to Methuselah*, odważnie i z talentem wystawionego przez *Arts Theatre Club*.

Swoje credo witalistyczne napisał Bernard Shaw w trzydzieści lat po pracy o ibsenizmie: w ciągu tych trzydziestu lat odszedł on daleko od "szokujących" tematów socjalnych, od tematów w rodzaju "profesji pani Warren" — tym niemniej pozostał wierny metodzie prezentacji scenicznej; nigdzie indziej nie uzewnętrzniły się tak wady teatru Shawa, jak właśnie w *Back to Methusaleh*. Gadatliwość jest tu wprost nieznośna (szczególnie w dwu ostatnich sztukach cyklu, który — nota bene — składa się z pięciu części), monologowanie i powroty raz użytych argumentów paraliżują akcję: taka na przykład *Tragedy of An Elderly Gentleman* (część czwarta) nuży aluzjami politycznymi, a przytem dziwi naiwnością sformułowań. Natomiast tam, gdzie akcja dramatyczna trzyma charaktery razem i uchyla ciekawie drzwi z jednego aktu do drugiego, jak na przykład w *In the Beginning* (część pierwsza z Adamem, Ewą i Kainem), Shaw wytrzymuje próbę czasu i po przeszło dwudziestu latach zajmuje nas tak samo. Joyce Burge, jeden z najlepszych charakterów cyklu, to kopia satyryczna Lloyd George'a — ale jak znakomita, jak niezależna od mody i dziennikarskiej aktualności: taki portret jest na zawsze portretem, choć model zniknął i wyblakł w pamięci naszej.

Teoria witalizmu (*Life Force*), poparta mitem długowieczności i wizjami utopijnymi, które jakże są mało przekonywające w zestawieniu ze Swiftem, nie jest teorią ani głęboką ani słuszną. Co gorsza, Metuzalem literatury angielskiej popada w tę samą krańcowość, co i Huxley, kiedy, próbując przedstawić istotne dążenia wyzwalającej się duszy ludzkiej, daje im purytański posmak i każe długowiecznemu mieszkańcowi utopii opiewać rozkosze czystego egotyzmu. *He-Ancient* i *She-Ancient* z ostatniej części cyklu *As Far As Thought Can Reach* są charakterami wysoce niesympatycznymi, choć nie było to pewnie intencją autora, a wizja pastoralna młodzieńczej ludzkości wydaje się nazbyt papierowa. Do takiej przyszłości, jaką nas częstuje prorok witalizmu, Bernard Shaw, nie warto się śpieszyć.

Kpiarz, zamieniając się w apostoła, założył maskę purytanina. Ta maska straszy.

*

Wyznawca *Life Force* ma pewnie wielu sojuszników wśród modnych dziś egzystencjalistów. Ale egzystencjaliści spotykają się z wnikliwą krytyką wśród myślących katolików. 90-stronicowa broszura Rogera Troisfontaines'a nosi tytuł *Existentialisme et pensée chrétienne* (E. Nauwelaerts, Louvain, & J. Vrin, Paris, 1946) i próbuje wykazać, że nie ma właściwie mowy o istotnym konflikcie między scholastycznym i egzystencjalnym pojęciem *essence*. Istotnym natomiast konfliktem egzystencjalisty jest pytanie, czy ta właśnie *essence* może być osiągnięta przez jednostkę, skazaną na śmierć i nieistnienie, czy też należy ona jedynie do istoty wieczystej, której życie zaczyna się ze śmiercią. Stąd sprawa przyjęcia lub odrzucenia Boga zbiega się z ogólnym problemem wyboru i wolności. Ale sam już nacisk, jaki każdy szczery egzystencjalista kładzie na subiektywne przeżycie w problemie wyboru i wolności, świadczy, że w jego dobrowolnej samotności i nieustannej rozpaczy czai się klęska ateizmu. Krąg jednostki i krąg społeczności przecinają się tutaj z tragiczną nieuchronnością — dlatego obiektywny krytyk egzystencjalizmu nie może nie widzieć konieczności zestawienia tej teorii z marksizmem, który zabija osobowość, i z katolicyzmem, który jej daje nowy sens w swym systemie moralnym (miłość jednostki rozszerzająca się na miłość ogółu).

Troisfontaines podkreśla zbieżność między rozpaczą egzystencjalisty i świadomością grzechu, między ostateczną wolnością jednostki i jej tęsknotą za wolnością poza granicami zła w przymierzu z osobowością Boga. Rozpacz i wątpienie w sztukach Sartre'a szczególnie wywołują atmosferę, zbliżoną do konfliktów, opisywanych przez nowoczesnych pisarzy katolickich: ta zbieżność jest uderzająca. Zanim potępimy egzystencjalizm, musimy mu się uważanie przyjrzeć i sprawdzić, jak dalece jest jego ateizm względny.

*

Kupowanie klasyków literatury hiszpańskiej nie niepokoi sumienia oszczędności: są to dziś chyba najtańsze książki w świecie. Za przeciętny tom poezji, prozy czy krytyki płaci się w Anglii (wliczając naturalnie koszty importu) 2 szylingi i 9 pensów, za niektóre tomy tylko 2s. 6d. Za tak niską cenę można otrzymać klasyk średniowieczny z końca XIII w. *Libro de buen amor* (autor: Juan Ruiz, Arcipreste de Hita), lub zbiór essayów M. de Unamuno (np. *Soliloquios y conversaciones*), lub głośny zbiór wierszy Federico Garcia Lorca *Romancero gitano*, lub wreszcie szkice naukowe wielkiego badacza Ramona Menéndez Pidala (np. *Poesia arabe y poesia europea*). Wszystkie te dzieła wydaje z dużą starannością firma argentyńska *Espasa-Calpe Argentina* w swej bibliotece *Colección Austral*, odpowiedniku angielskiej *Everyman's Library*. Przeszło pół tysiąca tomów wydanych w tej bibliotece to zbiór najcenniejszych dzieł kultury hiszpańskiej oraz przekładów zarówno z literatur klasycznych, jak i nowoczesnych (dużo rzeczy angielskich, szczególnie Chestertona; jak na razie ani jednej pozycji polskiej).

Drugą wielką firmą argentyńską, wydająca tanie klasyki, jest *Biblioteca Mundial Sopena* (większego formatu, lecz na gorszym papierze). Taniość książki hiszpańskiej jest najlepszą propagandą tej wielkiej cywilizacji — lepszą od zapewnień dziennikarzy i od panegiryków zawodowych mówców.

*

Najwybitniejszy z żyjących prozaików polskich, Ferdynand Goetel wydał zbiór swoich opowiadań wojennych p.t. *Kapitan Łuna* (wyd. *Gryf*, Londyn, 1947, str. 162). Jak wszystkie nowele czasu wojny, zmuszają one czytelnika do oglądania wizji literackiej poprzez okulary reportera, ale w pisarstwie Goetla okulary te mają wyjątkową siłę skupiania obrazów. Ich realizm jest natarczywy w konturach fabuły; umiejętność tłumaczenia rzeczowości opisu na wydźwięk patosu nie wulgaryzuje tematów, tak przecież bliskich naszym sentymentom. Dialog, naturalny, nieprzypadkowy, zawsze uzależniony od ram noweli, ukazuje w pełni różnice między stylem powieściopisarza i reportera. Goetel jest powieściopisarzem. *Exodus*, najlepszy w całym zbiorze, ma atmosferę zdumiewająco epicką, choć dystans wobec tematu zdaje się być tak bliski. Tak samo *Bohater* jest opowiadaniem o pełni i głębi kolorytu. W *Kapitanie Łunie* (jedna z nowel zbioru) widać pośpiech, a w *Szopenie* szkicownik grottgerowski przesuwa się przed oczyma zamiast intensywnych farb olejnych. Nasza biblioteka emigracyjna, trawiąca od lat przedruki, wzbogaciła się o oryginalny tom męskiej, muskularnej prozy.

Londyn, 2 kwietnia 1947 r. J.P.

# PRZEGLĄD WYDAWNICTW

**Lieutenant-General Sir Giffard Martel**: THE RUSSIAN OUTLOOK. *London*, 1947. *Michael Joseph Ltd.* Stron 187. Cena 10s. 6d.

Generał Martel był szefem brytyjskiej misji wojskowej w czasie ostatniej wojny — w okresie 1943-44. Po raz pierwszy zetknął się z Armią Czerwoną w 1936 r. w czasie manewrów sowieckich oddziałów czołgowych w okolicy Mińska. Autor jest zresztą jednym z przodujących specjalistów w zakresie broni pancernej (przed udaniem się do Moskwy był dowódcą *Royal Armoured Corps*).

W jego niewielkiej stosunkowo książce elementy wojskowy i polityczny mniej więcej się równoważą. Praca nie ma zresztą jednolitego charakteru, a składa się jakby z serii szkiców, i to nie tylko na temat Rosji, ale również spraw i zagadnień angielskich, dla których stosunki rosyjskie mogły służyć jako zwierciadło czy analogia.

Martel pisze stylem prostym i niewyszukanym, żołnierskim — można powiedzieć. Nie bawi się w finezje i subtelności, prawdy nie owija w bawełnę, jest zwolennikiem *plain talking*.

Tytuł książki *The Russian Outlook* można tłumaczyć w dwojaki sposób. Może on oznaczać "Pogląd na Rosję", może jednak — i to bodaj głównie autor miał na myśli — znaczyć "Umysłowość rosyjska". Język angielski jest niezmiernie elastyczny, podobnie jak i polityka angielska.

Pogląd Martela na Rosję jest realistyczny, a obok zagadnień czysto wojskowych interesuje go głównie człowiek rosyjski, jako typ psychiczny, interesuje go jego sposób myślenia. Teza, którą wbija ustawicznie w głowy czytelników, to fakt, że Rosjanie są Azjatami. Dla niego ludzkość dzieli się na Azjatów i ludzi Zachodu (*Westerners*). "Rosjanin jest z pewnością Azjatą" (str. 65). Autor ubolewa, że Anglicy właściwie nigdy nie nauczyli się rozumieć Azjatów (n.p. w Indiach) i w postępowaniu z nimi stosują wskutek tego fałszywe metody, traktując ich, jak gdyby byli ludźmi Zachodu.

Rosjanie nie zmienili się zasadniczo pod wpływem reżimu komunistycznego. Właśnie jako Azjaci nie lubią się oni wysilać. *Niczewo* tłumaczy wciąż jeszcze dobrze ich postawę wobec życia i jego wymagań materialnych. Dlatego sami Rosjanie przyznają, że potrzebują nad sobą jakiegoś rządu, który by ich zmuszał do wysiłku, rządu przykrego i szorstkiego (*nasty*). Takim był rząd carski w swoim czasie, takim jest też obecny rząd sowiecki, który ma tę tylko wyższość nad swym poprzednikiem, że jest sprawniejszy od tamtego.

Obydwie formy rządu opierają się na tajnej policji, która trzyma naród w ujarzmieniu. Reżim sowiecki jest nie mniej autokratyczny od reżimu carskiego. Nie można się doszukać śladu pierwiastków demokratycznych w ustroju obecnym. Głównym celem działania góry komunistycznej jest zachowanie prestiżu rządu i temu celowi służą akcje dla człowieka Zachodu odpychające i czasem pełne grozy. Autor dodaje tu jednak, że takie bezwzględne rządy są konieczne we wczesnych stadiach rozwoju narodu stosunkowo młodego, jakim są Rosjanie, szczególnie jeśli chodzi o kraj azjatycki.

Druga teza, powtarzana wielokrotnie w książce, polega na rozróżnieniu między poczciwym na ogół i dobrodusznym społeczeństwem rosyjskim a obecną jego stosunkowo cienką warstwą rządzącą, odznaczającą się bezwzględnością i bez skrupułów poświęcającą życie ludzkie. Jeżeli reżim komunistyczny utrzymuje się u władzy, jest to, zdaniem autora, wynikiem zachowywania wysokiego prestiżu sprawności i skuteczności tego systemu. Jest jednak i skutkiem działalności osławionej tajnej policji bolszewickiej — N.K.W.D., której stan liczebny równa się podobno czwartej części Armii Czerwonej. N.K.W.D. budzi postrach i grozę, ale jest traktowane jako zło konieczne, przed którym nie ma ucieczki.

Martel opisuje niesłychanie niski poziom życia mas rosyjskich, od którego odcina się jaskrawo zbytek i wystawność życia wyższej biurokracji i warstwy oficerów, z niezliczonymi bankietami, przyjęciami itd. Pisząc o tych różnicach w stopie życiowej autor zauważa: "Któż by pomyślał, że celem partii komunistycznej jest wytworzenie społeczeństwa bezklasowego?" (str. 72).

Autor opisuje inne jeszcze charakterystyczne objawy życia w Rosji, jak hermetyczne oddzielanie się od zagranicy itd., ale mało uwagi poświęca, co jest dosyć dziwnym i poważnym brakiem w realistycznym skądinąd obrazie stosunków w Rosji, działalności propagandy sowieckiej na terenie wewnętrznym, a więc czynnikowi, który systematycznie urabia sposób myślenia współczesnego Rosjanina. Zbyt mało też, naszym zdaniem, podkreślony jest zasadniczo bierny typ umysłowości rosyjskiej, co tłumaczy utrzymanie się przy władzy reżimu bolszewickiego, narzucającego swą wolę masom w sposób jak najbardziej autokratyczny.

Autor szczególny nacisk kładzie na konieczność przemawiania do Rosjan językiem raczej szorstkim, nie ustępowania im na każdym kroku, stosowania metody przetargu. To też o polityce "appeaserskiej" brytyjskiego Foreign Office wobec Rosji Martel wyraża się krytycznie, szczególnie jeśli chodzi o jej metody, bo wobec zasady zgodnego współżycia z Rosją nie ma zastrzeżeń. Z drugiej strony nie wierzy on, by Zachód mógł naprawdę zrozumieć Wschód i odwrotnie przez jakieś jeszcze 50 do 100 lat. Zapatruje się więc sceptycznie na sprawne działanie światowej organizacji politycznej. U.N.O., jego zdaniem, nie rokuje wielkich nadziei na przyszłość.

Sam Martel sugeruje podział świata na kilka wielkich imperiów, z których jedno stanowiłaby Ameryka, drugie Brytyjskie Commonwealth, trzecie — Rosja, czwarte Europa. Przyświęca mu więc pomysł wielkiej federacji europejskiej, mniej więcej po linii projektów Churchilla. Uwagi o federacji rzucone są bardzo szkicowo z pominięciem trudności nastręczających się przy realizowaniu tych pomysłów.

M. OST.

**Keith Feiling**: THE LIFE OF NEVILLE CHAMBERLAIN. *London*, 1947. *Macmillan & Co. Ltd.* Stron 466. Cena 25s.

W większości tygodników londyńskich krytycy byli zdania, że życiorys N. Chamberlaina, napisany przez poplecznika stronnictwa konserwatywnego, w intencji swojej służy jako obrona polityka, stojącego dziś jeszcze pod zarzutem ugody w Monachium. Wysunięto również argument, że autor pisząc o wypadkach tak świeżej daty był ograniczony w doborze materiałów i nie mógł z należytej perspektywy osądzić wydarzeń tak bliskich i współczesnych. Niemniej książka jest ciekawa, bo Anglicy celują w monografiach i żaden chyba naród nie posiada tak obfitej literatury w tej dziedzinie.

Neville Chamberlain był młodszym synem wielkiego Józefa. Dziedzictwo polityczne po ojcu odstąpił starszemu bratu Austinowi, ale kiedy sam z kolei został wprzągnięty do polityki, niecierpliwie znosił jego autorytet, a także legat tradycji rodzinnej. W młodości swojej Neville zaznał dużego niepowodzenia. Paroletni jego pobyt na Bahamach zakończył się stratą £50.000, co jest pouczającym doświadczeniem dla ludzi innych narodowości, którzy wyobrażają sobie, że Brytyjczykom powodzi się zawsze w ich przedsięwzięciach kolonialnych. Przez długie lata, nawet w Anglii rola Neville Chamberlaina pozostała drugorzędna i związana z rodzinnym miastem Birmingham. Wyrobił się tam na dobrego administratora i praktycznego finansistę, a przede wszystkim stał się człowiekiem rozmiłowanym w społecznym postępie swego miasta. Zamiłowania te wpłynęły na jego zapatrywania pokojowe. Sądził, że Anglii potrzeba tylu reform wewnętrznych, iż wojnę uważał za nieszczęście tym większe, że odraczające postępową przebudowę.

Do rozgrywek wewnątrz własnego stronnictwa nie miał zdolności, do udziału w rządzie doszedł po sześćdziesiątce, los jednak sprawił, że nie było poza nim nikogo, kto by się nadawał na kierownika partii konserwatywnej, a zaraz po tym na stanowisko pierwszego ministra. Władzę po bracie Austinie i po premierze Baldwinie objął więc człowiek uparty, zamknięty w sobie, dobry administrator, zupełnie obcy zagadnieniom kontynentu Europy i obarczony od wstępu spuścizną wielkiego odłamu opinii publicznej zarażonej pacyfizmem, należący sam, wbrew zamiłowaniu do społecznego postępu, do przebrzmiałej epoki.

W tej chwili, kiedy prawie wszystko legło w gruzach, najtrudniej jest określić, na czym polega istota konserwatyzmu. Od XVIII w. Anglia przodowała w tworzeniu nowych form w polityce i obyczajach. Przekonanie o tym ugruntowało się w świadomości angielskiej tak silnie, że może przetrwało i impuls wewnętrzny i wybitnych ludzi, którzy decydowali o jej roli w świecie. Tradycje polityki zagranicznej były dawne i wypróbowane, ale zawsze dorywcze, a właśnie w przełomowych latach, od 1932, a może już wcześniej stanowisko W. Brytanii wobec burzliwych wstrząsów Europy było raczej negatywne. N. Chamberlain pochodził z oświeconej i przodującej klasy mieszczańskiej, tak wybitnej w XIX w., ale właśnie ta klasa, włącznie z imperializmem Józefa Chamberlaina, najmniej miała łączności z Europą. W chwili decydującego kryzysu, główną rolę jako przedstawiciel Anglii odegrał sztywny starszy pan, ciemno ubrany, z przysłowiowym parasolem w ręku, człowiek jak gdyby z innej planety. I właśnie on latał samolotem na ugodowe spotkania z Hitlerem, jednym z najbardziej demonicznych kryminalistów, jakich wydała historia.

Keith Feiling posługuje się obficie listami i dziennikiem Chamberlaina z okresu Berchtesgaden, Godesbergu i Monachium. Te wyznania osobiste są i blade i nikłe. Nie wyrastają po za spostrzeżenia przeciętnie uczciwego człowieka reagującego równocześnie na przebieg wypadków. Z wielu ogłoszonych dziś wspomnień wynika, że w przededniu wojny politycy z dnia na dzień znajdowali się pod obuchem ciągle nowych niespodzianek.

Rzuca to dziwne światło na ograniczoność możliwości ludzkich.

A jednak wielcy gracze polityczni, jak Fryderyk II albo Bismarck, dane jakie mieli w ręku wykorzystywali dla osiągnięcia swoich celów. Podobny stosunek do rzeczywistości trzeba uznać zarówno w działalności Piłsudskiego, jak Dmowskiego. Neville Chamberlain przeciwnie, przy najlepszych intencjach pozbawiony był twórczego polotu. Dlatego wypadki obaliły tak prędko jego usiłowania. Można to nazwać brakiem szczęścia. Jako okoliczność łagodzącą będzie się przytaczało rok zyskany dla dozbrojenia. Ale ten rok w pełni wykorzystali i Niemcy. Biograf, który tak przychylnie ocenia swego bohatera, nie może go inaczej przedstawić, jak ofiarę sił przez niego nieopanowanych. Jeśli zaś chodzi o dobre zamiary, to wedle przysłowia francuskiego — piekło jest nimi brukowane.

J. A. Ż.

**Henryk Bagiński:** GOSPODARCZE UZASADNIENIE ŻĄDAŃ TERYTORIALNYCH DORZECZA ODRY. Odbitka z "Bellony". *Londyn*, 1946. Cena 1s. 6d.

Granica Odry i Nisy — chociaż ofiarowana nam przez wrogą siłę, jaką są Sowiety i w okolicznościach szczególnie bolesnych (utrata Wilna i Lwowa) — stała się już faktem, który druzgocząca większość narodu, bez względu na przekonania polityczne, uznaje za fakt dokonany, zasługujący na to, by go z całą wytrwałością i patriotyczną żarliwością w razie zagrożenia bronić. Miliony Polaków, zarówno tych wygnanych z Ziem Wschodnich, jak i tych, których pozbawiła egzystencji zagłada Warszawy, zniszczenie Kielecczyzny, czy Mazowsza, oraz zubożenie całego Kraju, znalazły na odzyskanych po sześciu, czy też siedmiu wiekach Ziemiach Zachodnich nową egzystencję. W ramach obcego i wrogiego politycznego systemu sam naród autentyczną swoją wolą i autentycznym swoim zbiorowym rzetelnym wysiłkiem wziął te ziemie w swoje posiadanie, odnalazł na nich wspomnienia swej dawnej przeszłości, przywiązał się do nich nowym przywiązaniem. Najostrożniejsi — coraz mniej liczni — wśród nas są zdania, że ziemie te są dla nas cennym zastawem, który ułatwi nam kiedyś odzyskanie Ziem Wschodnich; i tym lepszym będą dla nas zastawem, im mocniej na nich usiądziemy. Śmielsi — coraz liczniejsi — są zdania, że mamy i szanse i prawo, nie wyrzekając się Ziem Wschodnich i nie przerywając walki o ich odzyskanie, bronić zarazem też i praw świeżo nabytych na Ziemiach Zachodnich.

W tych warunkach żywym zainteresowaniem powinno się wśród nas cieszyć wszystko, co tych nowych ziem, będących istnym odzyskanym klejnotem Rzeczypospolitej, dotyczy.

Wartościowym i ciekawym przyczynkiem do oceny sprawy Ziem Zachodnich jest nowa broszura pułkownika Bagińskiego.

Treścią broszury jest wykazanie roli, jaką odgrywa i odgrywać może przemysł Ziem Zachodnich, potężnie wzmacniając bądź Polskę, bądź Niemcy, oraz roli, jaką odgrywają — jako czynnik gospodarczego uniezależnienia Polski, bądź jako baza militaryzmu pruskiego — porty morskie na Zachodnim Pomorzu. Jest dalej wykazanie nadspodziewanie silnej spójni hydrograficznej (geograficznej i komunikacyjnej) dorzecza Odry z resztą Polski. A wreszcie jest wykazanie związku, jaki zachodzi między dzisiejszą zachodnią granicą Polski, a bezpieczeństwem państw Europy Środkowo—Wschodniej (propozycje na przyszłość, jakie tu płk. Bagiński wysuwa, są na razie nieaktualne, ale mogą się kiedyś stać aktualne w przyszłości). Broszura zaopatrzona jest w interesującą mapkę gospodarczą i komunikacyjną dorzecza Odry. J. G.

**Jan Hay:** PEACEFUL INVASION. *London*, 1946. *Hodder and Stroughton, Ltd.* Stron 238. Cena 10s. 6d.

Popularny autor powieściowy i essayów wojennych w ostatniej swojej książce opisuje wrażenia z zetknięcia się z różnymi jednostkami sił sprzymierzonych czy grupami osób cywilnych, które czasowo obrały sobie Wyspy Brytyjskie za siedzibę.

Książka pisana jest stylem lekkim, z humorem, bez zagłębiania się w poważniejsze problematy, jakie pobyt — w początkach 1945 r. — niektórych przynajmniej z tych grup mógłby nasuwać. Autor odwiedził w ciągu kilku tygodni porozrzucane po całej W. Brytanii obozy, szkoły, szpitale, doki, kluby, lokale i.t.p. i przeprowadził niezliczone rozmowy z "siłami inwazyjnymi".

Bardzo pokaźna część książki poświęcona jest przedstawieniu życia grupy polskiej — marynarzy, lotników, żołnierzy, zdrowych, czy rannych lub chorych. Autor mówi o Polakach z sympatią, jak o wszystkich zresztą innych "okupantach pokojowych". Cokolwiek o nas pisze, zgodnie z prawdą i na ogół ściśle, ma znaczenie dla pokonywania wcale gruntownej wciąż jeszcze ignorancji brytyjskiej w sprawach polskich. Że te ogólniejsze uwagi i informacje o Polsce wsunięte są jakby od niechcenia między jakieś opisy albo zrekonstruowane dialogi, tym lepiej, bo nie nużą.

Gdy n.p. Hay opisuje swój pobyt w Okehampton, polskiej morskiej bazie treningowej, opis ten poprzedza króciutka (na dwóch stronach) historia powstania i walk marynarki polskiej. Dla charakterystyki przytaczamy ustęp końcowy:

"Nigdy nie dał się odczuć brak materiału morskiego. Polacy potrafili znaleźć drogę do W. Brytanii z każdego zakątka świata. Jeden z nich przekroczył dziesięć granic, by to uczynić. Wielu nie znało się wcale na żegludze, lecz ożywiał ich płomień patriotyzmu. Wszystko, czego pragnęli, to nauki" (str. 28).

Chociaż autor, jak może odsuwa tematy poważniejsze, w rozmowach z Polakami nie da się ich jednak uniknąć. Komendant bazy w Okehampton napomyka o tragedii polskiej, o niemożliwości powrotu do kraju dla wielu. Młodzieniec ze Lwowa wspomina o krzywdach doznanych od Rosjan. Ojciec jego, matka i brat zostali zabici, żona pracowała przy ścinaniu i transportowaniu drzewa gdzieś na granicy Sybiru od czwartej nad ranem do 9-ej wieczorem, aż wreszcie wydostała się do Iraku i przybyła do Anglii.

Za chwilę jednak autor opowiada historyjkę o skazanym na areszt marynarzu polskim, który znając lepiej język angielski niż eskortujący go starszy marynarz wyręczył go w obowiązkach i zamiast siebie kazał angielskim władzom więziennym Bogu ducha winnego konwojenta zamknąć.

Zwiedzanie kontrtorpedowca O.R.P. *Garland* znowu nasuwa poważniejsze refleksje. Przytoczone są bohaterskie dzieje okrętu i jego załogi, dziesiątkowanej podczas strasznych konwojów na Murmańsk i Maltę. Opis ten zamyka wzruszający obraz umierającego młodziutkiego marynarza, który własną krwią wypisuje słowa (przytoczone po polsku): "Polsko, jak słodko dla Ciebie umierać".

Później z autorem zwiedzamy polski szpital wojskowy. Przy tej sposobności autor przemyca sporo wiadomości o polskim wkładzie wojennym we Włoszech, we Francji i Holandii.

Angielki chwalą dobre maniery Polaków. Zwyczaj całowania rąk również zapisywany jest na ich dobro. Autor opisuje jak jakiś młody lotnik angielski pozował jako Polak na dancingu (przypiąwszy sobie znaki "Poland") ponieważ *you can't get a girl, else*.

Autor podkreśla inteligencję, umiłowania i zdolności artystyczne oraz lingwistyczne Polaków. Ich patriotyzm i świadomość doznanej krzywdy w czasie tej wojny, zwłaszcza ze strony Rosji, zwraca na siebie często uwagę autora.

Z innych grup narodowościowych najwyraźniej może nakreśleni są Czesi. Hay podkreśla ich zdolności organizacyjne, zwraca uwagę na wielką ilość fabryk i przedsiębiorstw przemysłowych, stworzonych w W. Brytanii przez Czechów. W przeciwieństwie do Polaków Czesi godzą się na nową rolę Rosji Sowieckiej w Europie, chociaż i w tych kołach wyrażano obawę, by Związek Sowiecki poprostu nie wchłonął Czechosłowacji. Uwagi te jednak wypowiedziane są miękko i jakby z pewną rezygnacją: "Wolelibyśmy utrzymać swoją tożsamość narodową w odnowionej republice w myśl pierwotnych założeń Masaryka" (str. 186).

Podobne opinie odnośnie Jugosławii wypowiadał jeden z młodych oficerów marynarki jugosłowiańskiej.

Autor zresztą, jak wspomniano, unika krytycznych komentarzy o "sprzymierzeńcach rosyjskich".

Książka może, przez przypomnienie wkładu polskiego do wojny, oddać pewne usługi sprawie polskiej. M.O.

---

## POLSCY "RECALCITRANTS"

W ciągu marca r.b. w rubryce listów do redakcji *Manchester Guardian* toczyła się ożywiona dyskusja na temat t.zw. *Polish recalcitrants* ("polskich niezdecydowanych"), t.j. tych żołnierzy polskich w Wielkiej Brytanii (w liczbie około 9.500), którzy, choć nie zgłosili się na powrót do kraju, odmówili przystąpienia do Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia. Bezpośrednim bodźcem do tej dyskusji było oświadczenie, złożone w dniu 4 marca w Izbie Gmin przez ministra spraw wewnętrznych p. Chuter Ede, w którym uskarżał się, że "ludzie ci, mimo bardzo wielkodusznego (*generous*) traktowania ich, próbują "stawiać się" (*are trying to be tough with us*). Min. Ede sugerował, że przyczyną odmowy przystąpienia do P.K.P.R. jest niechęć tych żołnierzy do pracy. "Trzecią alternatywą, poza przystąpieniem do P.K.P.R. lub powrotem do Polski — mówił — może stać się przerzucenie tych ludzi na kontynent z tym, że każdy z nich dostałby 400 marek i odtąd zdany był już na własne siły".*

Tego samego dnia, w którym dzienniki podały to oświadczenie, *Manchester Guardian* doniósł, że w obozie wojskowym w Skitten, w hrabstwie Caithness, pięciu żołnierzy polskich rozpoczęło głodówkę na znak protestu przeciw określaniu ich mianem *recalcitrants*. Oświadczyli oni, że pragną wyemigrować do Argentyny, Stanów Zjednoczonych lub Kanady bez przystępowania do P.K.P.R.; ich prośby o paszporty nie odniosły skutku właśnie dlatego, że uznani zostali za "niezdecydowanych". W parę dni potem poczęły się ukazywać w *Manchester Guardian* listy, dotyczące całości tego zagadnienia, pisane i przez Polaków i przez Anglików. Wykazały one, że sprawa jest bardziej skomplikowana, niż by się na pozór wydawało, i że w grze są motywy zarówno psychologiczne, jak natury całkiem praktycznej. Argumenty niektórych listów są rzeczowe, z innych przebija bądź nieświadomość faktycznego stanu rzeczy, bądź nawet wpływy ubocznej propagandy.

*Według oświadczenia ministra wojny Bellengera, złożonego ostatnio w Izbie Gmin w odpowiedzi na zapytanie posła Stokesa, deportacji do Niemiec uległo dotąd 64 żołnierzy polskich.

Tak np. list w *M.G.* z dn. 14 marca, podpisany *One of Tough Recalcitrants*, nosi wyraźne piętno jednostronnej propagandy, jako główną bowiem przyczynę niechęci *recalcitrants* do zapisywania się do P.K.P.R. podał obecność w obozach oficerów polskich, którzy jakoby "czynią wszystko", by ludzi w obozach zatrzymywać. Do twierdzenia tego dodany został zarzut "polityczny", mianowicie, iż b. dowodca 2 Korpusu, "obecnie przydzielony do kwatery głównej P.K.P.R.", reprezentuje "skrajną anty-parlamentarną prawicę" (*sic* !). W tymże samym jednak numerze dziennika manczesterskiego autor innego listu, podpisany *Polish Sergeant Major*, jako przyczynę niezapisania się tak znacznej liczby żołnierzy do P.K.P.R. podaje ogólnikowość statutu tej organizacji, dającego wszystkie prawa rządowi, a żadnych członkom P.K.P.R. List mówi w gorzkich słowach o niedotrzymanych wobec Polski zobowiązaniach i podkreśla, że żołnierze polscy nie życzą sobie być przedmiotem upokarzających targów, ani nie chcą być "przesiewani" (*screened*) w celu wykrycia, czy nie ma wśród nich "faszystów".

Dnia 22 marca pojawił się jeszcze jeden list, występujący z zarzutem, jakoby oficerowie polscy w P.K.P.R., w obawie o utratę swych stanowisk, utrudniali przejście żołnierzy do zajęć cywilnych. Anonimowa autorka listu przedstawia się jako żona marynarza polskiego i właśnie oficerom polskim przypisuje fakt, że mąż jej, który stara się dostać ponownie do floty handlowej, dotąd z P.K.P.R. nie może uzyskać zwolnienia.

Na list ten w numerze z dnia 27 marca odpowiedział rzeczowo b. kapral Z. Krywald, sam zwolniony z P.K.P.R. po uzyskaniu zajęcia cywilnego. Stwierdza on, że oficerowie polscy nie mają nic wspólnego z procedurą przechodzenia żołnierzy P.K.P.R. do życia cywilnego. Każdy wstępujący do P.K.P.R. proszony jest o odpowiednie dane przez miejscową *Labour Exchange* (giełdę pracy), i o ile istnieje popyt na pracowników w jego zawodzie może z tego natychmiast skorzystać, z jednym tylko zastrzeżeniem, iż nie ma na to samo stanowisko kandydata Brytyjczyka; zostaje wówczas zwolniony i otrzymuje zatrudnienie. W wypadku zaś, gdy członek P.K.P.R. sam znajdzie sobie zajęcie, jego przyszły pracodawca wysyła odnośne podanie do miejscowej *Labour Exchange*, która udziela swego zezwolenia (z tym znowu zastrzeżeniem, że nie ma kandydata Brytyjczyka). Po udzieleniu tego pozwolenia *Labour Exchange* zawiadamia o tym Brytyjski Sztab Doradczy (*British Advisory Staff*), przydzielony do każdej jednostki polskiej; ów B.A.F. komunikuje się z ośrodkiem rejestracyjnym P.K.P.R., który z kolei przenosi danego członka Korpusu na listę rezerwy. Cała procedura trwa normalnie trzy tygodnie. Wynika z tego jasno, że jedynie *British Advisory Staff* i *Labour Exchange* mają prawo decydowania o zwolnieniu i zatrudnieniu polskiego żołnierza w W. Brytanii.

W dyskusji zabrało także głos troje Anglików. P. Victor Dawn (w *M.G.* z dn. 17 marca) zsolidaryzował się z protestem polskiego autora pierwszego listu przeciw stosowaniu groźby deportacji. "Szantażować tych ludzi — pisał p. Dawn — w kierunku zapisania się do P.K.P.R. groźbą deportowania ich do Niemiec jest praktyką, która musi być potępiona w najostrzejszych słowach. Konieczne jest stanowisko bardziej ludzkie, bardziej angielskie".

P. Ursula Franklin z dowództwa A.T.S. przy *Western Command* w liście, który ukazał się dnia 21 marca, wywodzi, iż zostały zrobione wszystkie wysiłki (m.i. drogą ulotek i specjalnego anglo-polskiego *Brains Trustu*, który objechał wszystkie obozy), by objaśnić żołnierzy polskich o celu P.K.P.R. Cel ten polega na przeniesieniu członków P.K.P.R. do zajęć w życiu cywilnym. W tym samym duchu zabrała głos w numerze *Manchester Guardian* z dn. 1 kwietnia nasza wielka przyjaciółka, księżna Atholl, przewodnicząca Brytyjskiej Ligi Wolności Europy. Przyznaje ona, że procedura przenoszenia członków P.K.P.R. do życia cywilnego była do tej pory powolna, ale zarówno *War Office* jak Ministerstwo Pracy czynią wysiłki, by tempo tego przenoszenia przyśpieszyć.

Streściliśmy umyślnie dyskusję, jaka toczyła się na łamach *Manchester Guardian*, gdyż poruszyła ona wszystkie istotne aspekty sprawy. Sądzimy, że z chwilą, kiedy wszyscy żołnierze polscy zostaną ostatecznie przekonani (a sądzimy, że to nastąpi), iż zapisanie się do P.K.P.R. nie stanowi żadnej przeszkody w emigracji do innego kraju, oraz że z drugiej strony Korpus daje istotnie możność przejścia do życia cywilnego przez objęcie jako tako przynajmniej trwałego stanowiska (bez obawy o nagły powrót do obozu P.K.P.R.) — to liczba *recalcitrants* zmniejszy się w ciągu krótkiego czasu do zupełnie niewielkiego odłamka.

Dodać należy, że gen. Anders w czasie swego niedawnego objazdu obozów polskich wygłosił przemówienie, w którym zaapelował między innymi do wszystkich "niezdecydowanych", by zapisali się do P.K.P.R.

## CZYNNIKI PSYCHOLOGICZNE

Na ostateczne "ustabilizowanie się" sytuacji Polaków ku zadowoleniu obu stron: polskiej i brytyjskiej bardzo poważny wpływ będą miały czynniki natury psychologicznej. Z obu stron konieczna jest postawa pełna zrozumienia i wczucia się w psychikę drugiej strony i wyciągnięcie stąd odpowiednich wniosków praktycznych.

Przede wszystkim więc, gdy mowa o "asymilacji" Polaków, byłoby wskazane określić bliżej, jaką treść temu słowu się nadaje. Asymilacja w sensie wynarodowienia, t.j. wyzbycia się przez Polaków ich uczuć polskich, ich polskiego patriotyzmu i prawa do rozwoju własnego życia narodowego w najszerszym zrozumieniu tego słowa, jest rzeczą niemożliwą do przeprowadzenia i wszelkie próby, idące w tym kierunku, dałyby skutki jak najbardziej ujemne. Ogromna większość Polaków w W. Brytanii — łącznie z tymi, którzy do kraju tego jeszcze przybędą, — to ludzie o gorącej postawie ideowej, którzy w warunkach niezmiernie trudnych przedarli się do wojsk polskich na Zachodzie czy na Bliskim Wschodzie, by kontynuować tu walkę o niepodległość swej ojczyzny. Tej swojej postawie ideowej zostaną na pewno wierni do końca życia bez względu na to, gdzie i w jakich warunkach się znajdą. Przypuszczamy, że rozumieją to także Brytyjczycy i dlatego nie sądzimy, by słowa na temat "asymilacji", które padły w Izbie Gmin, mogły mieć znaczenie takie, jak pisaliśmy powyżej. Sądzimy, że oznaczać one mają co innego: poszanowanie przez Polaków praw i obyczajów kraju, który dał nam gościnę, życzliwy i pomocny stosunek do społeczeństwa brytyjskiego i jego życia zbiorowego, oraz unikanie zadrażnień, a stwarzanie jak największej ilości punktów spójnych. Do tego wszystkiego niewątpliwie Polacy będą starali się przykładać jak najgoręcej.

W tym zakresie, jak sądzimy, sprawy od samego początku, t.j. od lat siedmiu blisko, układały się pomyślnie — i wolno mieć nadzieję, że również w przyszłości tak będzie. Dodajmy jednak szczerze, że jedną z ważnych przeszkód natury psychologicznej jest stanowisko znacznego odłamu prasy brytyjskiej i jej ponawiające się od czasu do czasu, a niczym nieuzasadnione antypolskie naganki. Większość tych periodyków — to oczywiście pisma bądź komunistyczne, bądź pod wpływem propagandy komunistycznej się znajdujące, nie brak jednak organów, zajmujących stanowisko zgoła przeciwne, a mimo to odznaczających się zdumiewającym brakiem obiektywizmu w informowaniu o sprawach polskich. Nie wiemy, czy jest na to jaka rada, ale zdajemy sobie sprawę, jak deprymująco rzeczy te wpływają na nastroje Polaków w Wielkiej Brytanii.

Dalszym doniosłym czynnikiem psychologicznym jest troska, jaką odczuwają zwłaszcza żołnierze polscy o los wielu tysięcy polskich uczestników kampanii wrześniowej i członków Armii Krajowej, przebywających nadal w Niemczech w niezmiernie ciężkich warunkach. Los tych naszych kolegów, a wiernych w okresie wojny sprzymierzeńców W. Brytanii, legł ciężko na świadomości i sumieniach Polaków, żyjących w tym kraju w o ileż lepszych warunkach.

I z polskiej jednak strony konieczne jest zrozumienie i odczucie pewnych rzeczy. Przede wszystkim więc — niezależnie od tego, co myślimy o polityce brytyjskiej w sprawie polskiej, — nie wolno nam zapominać, że Wielka Brytania jest dziś, mimo swych poważnych trudności gospodarczych, jedynym krajem, który daje opiekę materialną wielkiej liczbie Polaków, nie mogących, czy nie chcących wrócić do swego kraju. Inne rządy alianckie żadnej pomocy nie udzielają, a nawet nierzadko postępują wobec Polaków w sposób, budzący refleksje jak najbardziej bolesne (jak rządy Norwegii i Włoch — krajów, o których wolność żołnierz polski przelewał swą krew).

Dalej pamiętać należy, że Wielka Brytania jest jednym z bardzo nielicznych krajów Europy, w których, mimo zakusów pewnych czynników, zachowany został ład i bezpieczeństwo prawne, w których szanuje się wolność i godność ludzką. Dla oceny sytuacji Polaków w tym kraju jest to moment dużej wagi.

Wreszcie nie wolno zapominać, że społeczeństwo brytyjskie — o ileż zresztą szczęśliwsze od polskiego w Kraju — jest silnie nerwowo i fizycznie zmęczone nie tylko sześcioletnią wojną, ale i ograniczeniami różnego typu, które trwają nadal i których końca jeszcze nie widać. Ksenofobia — na której spekulują komuniści i różnego gatunku nieuczciwe pismaki prasowe — jest właśnie jednym z wyrazów tego zmęczenia. Mimo wszystko jednak nie przybrała ona poważniejszych rozmiarów i miejmy nadzieję, że zachowanie się nasze przyczyni się do znacznego stępienia jej ostrza, przynajmniej w stosunku do Polaków.

STANISŁAW WIKTOR SZCZEPANOWSKI

# NOWA JAPONIA RODZI SIĘ Z ATOMU

JAPONIA, kraj 80 milionów wyspiarzy, jest, zdaniem Japończyków, centrum świata. Zwycięstwo — również ich zdaniem — musi być przy tym, kogo poprze Japonia. Japonia coraz częściej widnieje znów po swojej klęsce na pierwszych stronach dzienników i czasopism w Ameryce a nawet i w Wielkiej Brytanii. W eterze jest jeszcze głośniej — najwięcej podają radiostacje Ameryki. Prasa angielska w swym nastroju przeciwimperialnym nieco mniej się tym interesowała do niedawna. Zorientowano się jednak obecnie, iż światła i cienie drugiej półkuli, tak ważne dla sytuacji świata, dają się zanalizować dobrze poprzez pryzmat japoński.

Dzisiejszym władcą Japonii z ramienia zwycięskich aliantów jest amerykański Szkot, gen. Douglas MacArthur. Wykonuje on swą władzę za pośrednictwem dawnego japońskiego aparatu administracyjnego, działającego w imieniu cesarza Hirohito. Komisja Wielkiej Trójki dla spraw Japonii — amerykańsko-sowiecko-brytyjska — ma swą siedzibę w Waszyngtonie. Ma ona charakter raczej dyskusyjny i doradczy, a gen. MacArthur niewiele się z nią liczy. Komisja ta, aby móc się informować i orientować na miejscu w Japonii, uzyskała prawo utrzymywania w Tokio swej ekspozytury złożonej z jednego reprezentanta Ameryki, jednego Sowietów i jednego Wielkiej Brytanii razem ze wszystkimi dominiami. Każdy z tych trzech delegatów ma prawo dobrać sobie pomocników i asystentów. Brytyjczyk myślał, iż bardzo się wysilił sprowadzając sobie aż dziesięciu asystentów. Delegat Sowietów jednak rekord ten pobił znacznie, sprowadzając do Tokio takich asystentów czterystu — przeważnie w mundurach.

Czynniki brytyjskie żaliły się ostatnio w audycjach radiowych, iż w Japonii wytwarza się przekonanie, jakoby Wielka Brytania, wycofując się z systemu imperialnego, odpisała na straty swe wpływy i interesy w sferze Japonii na rzecz Ameryki. Równocześnie w rejonach przemysłu włókienniczego środkowej Anglii dokoła Lancaster zbudziło się głębokie zaniepokojenie wywolane tym, iż japoński przemysł tkacki, zorganizowany przez kapitały Ameryki, zasypie wnet rynki świata towarem, dlatego bezkonkurencyjnie tanim, że niski poziom życiowy japońskiego robotnika daje nieprawdopodobne obniżenie kosztów produkcji. Na jubileuszowym zebraniu kunktatorskich fabianów zaczęto mówić o potrzebie "labourzystowskiego planu imperialnego"; łączy się to zapewne z obawą, by nie stracić nawet Indii jako rynku zbytu na rzecz Japonii i Ameryki.

Myślano jeszcze do niedawna, iż narzucenie Japonii przez Amerykę nowej i demokratycznej konstytucji może spotkać się z oporem. Stało się wręcz odwrotnie, niespodziankę spowodowała ponoć obawa Japończyków, że w razie przeciągania się pertraktacji mogą stanąć na porządku dziennym podobne, choć zupełnie innego ducha i w innych celach układane projekty konstytucyjne sowieckie. Ponad to różne wystąpienia oficerów amerykańskich wytworzyły wśród Japończyków mniemanie, że Japonia może Ameryce wnet być potrzebna — jako sprzymierzeniec. Wciąż powtarzane wiadomości o zamierzeniach i posunięciach agend Kominternu w stosunku do Japonii — także zrobiły swoje. Korespondent *Daily Herald*'a w Tokio, Mr. Hessell Tiltman, nie bez widocznego zdziwienia i krytycyzmu, a nawet odrazy, opisuje śpieszne przyjęcie i proklamowanie nowej konstytucji japońskiej. Konstytucja ta, donosi korespondent, jest demokratyczna i wprost rewolucyjna, bo prawa suwerenne przenosi z cesarza na naród. Ale taką właśnie konstytucję proklamuje na uroczystym posiedzeniu parlamentu w Tokio właśnie sam cesarz Hirohito w uroczystym i tradycyjnym czarnym mundurze, w białych rękawiczkach oraz z insygniami orderu chryzantemy. Już na pięć minut przed wejściem cesarza, jak zauważa Mr. Tiltman, cała izba poselska stanęła na baczność. W czasie ceremoniału proklamowania konstytucji korespondent naliczył trzydzieści sześć głębokich pokłonów przed cesarzem. Niedemokratycznym startem według korespondenta *Daily Herald* było to, że w czasie uroczystego proklamowania konstytucji ceremonii tej asystowała amerykańska żandarmeria wojskowa, a nawet samochody pancerne patrolujące dookoła parlamentu. Krytycyzm ten nie jest zupełnie przekonywający, ponieważ nic się nie słyszy o istnieniu jakiekolwiek opozycji japońskiej, która mogłaby wywołać twardą reakcję okupanta. Jeżeli trzeba było asysty i ochrony zbrojnej — to raczej przeciwko możliwości niespodzianek innego pochodzenia, oraz dla nadania ceremonii większego splendoru.

W ten sposób weszła Japonia w nową fazę swej "reedukacji". Tempo przemian jest wręcz zadziwiające. Przecież to mniej niż jedno stulecie temu, w roku 1853 "państwo Wschodzącego Słońca" po raz pierwszy usłyszało huk armat, gdy amerykańskie fregaty komodora Perry demonstracją tą poparły żądanie otwarcia portów Japonii dla amerykańskiego handlu. Przeciwko armatom amerykańskich fregat wyruszyły wówczas tylko oddziały łuczników samurajów. Przecież pierwsza konstytucja znosząca ustrój feudalny została nadana Japonii siedemdziesiąt pięć lat temu. W Europie wtedy Bismarck proklamował w Wersalu cesarstwo Hohenzollernów. Nowa Japonia dzisiejsza — urodziła się w piorunującym tempie, gdy po atomowych bombach w Hiroszimie i Nagasaki wylądował w Tokio gen. Douglas MacArthur, bohater Filipin, przemawiający do wyobraźni rycerskich samurajów swą wojenną sławą. Razem prawie z tym lądowaniem utrwaliło się w Japonii przekonanie, że nie została ona pobita w wojnie normalnej, lecz musiała skapitulować przed wyższą nadziemską siłą. Słyszeliśmy wówczas przez radio, iż MacArthur odwiedził niemal zaraz po wylądowaniu świątynię Haczymena, bóstwa wojny szyntoistów, a potem złożył wizytę cesarzowi Hirohito, który go odrazu rewizytował. Odtąd wszystko się pomieszało, pojęcie zwycięstwa i klęski — a mieszając się — zespoliło. Amerykanie są zdania, że to Hirohito i jego ministrowie rządzą w imieniu gen MacArthura, Japończycy myślą zapewne, że jest wręcz odwrotnie. Tak przynajmniej twierdzi radiowa propaganda "tych trzecich" — niezadowolonych — z Moskwy. Tak czy owak metody psychologiczne amerykańskie święcą w Japonii niebywały tryumf praktyczny, przynajmniej doraźnie. Sukces materialny i moralny występuje tym dobitniej na tle nędzy, zamętu i rozdźwięku w Europie: w Niemczech, w Austrii i w t.zw. "krajach uwolnionych". Radio amerykańskie doniosło nawet o sukcesie, jaki na pewno nigdy się przedtem nie przyśnił żadnemu z okupantów, a w Japonii żadnemu z białych: otóż posążki gen MacArthura spotyka się już w japońskich kapliczkach domowych, dodane do dawnych świętych buddyzmu i szyntoizmu, czczone na równi ze starymi bogami.

Równocześnie zainstalowała się w Tokio, jak już wspominaliśmy na początku, obserwacyjna ekspozytura Wielkiej Trójki. Urządziła ona tam nawet swe publiczne posiedzenia; obradują delegaci Ameryki, Wielkiej Brytanii i Sowietów w towarzystwie licznych asystentów. Przedstawiciele administracji MacArthura są publicznie interpelowani przez delegację sowiecką w sposób właściwy wszystkim sowieckim delegacjom. Na swe prowokujące wystąpienia otrzymują oni odpowiedzi w tym samym niemal tonie. Prasa japońska, korzystając z wolności słowa, podaje pełne sprawozdania z tych incydentów, oczywiście nie bez satysfakcji słabo ukrywanej.

Patrzą na ten wzbierający konflikt spokojne i nienaruszone posążki Buddy, posążki Haczymena i innych bóstw szyntoizmu, patrzy MacArthur, żywy i pełen inicjatywy, opromieniony w Japonii mitem bohaterstwa.

S. W. SZCZEPANOWSKI

## *KSIĄŻKI NADESŁANE*

**J. Zych:** ROSJA WOBEC POWSTANIA WARSZAWSKIEGO. Przedmowa gen. T. Bora-Komorowskiego. *Londyn*, 1947. *Contemporary Life & Culture, Ltd.* Stron 50. Cena 1s. 6d.

**Jacek Przygoda:** Z POLAKAMI W BELGII 1938-1942. *Bruges*, 1946. Stron 105.

**H. W. Henderson:** WHY DON'T THE POLES GO HOME? *Nakładem autora.* Stron 31. Cena 6d.

**Treść *Nr.* 109-110 (*Rok VII, Nr.* 4-5) "Myśli Polskiej"**



**"MYŚL POLSKA"**
**założona w 1941 r. w Londynie, ukazuje się raz w miesiącu.**
**Redakcja i Administracja:**
**8 Alma Terrace, Allen Street, London, W.8. Tel. WEStern 1797.**
**Prenumerata półrocznie (6 numerów) 12s. lub $4.**
**Prenumerata rocznie (12 numerów) — £1. 4s. 0d. lub $8.**